Nr. 3. Lwów, Niedziela dnia 19. Stycznia 1879 r. **Tom VIII.**



ROK VI.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

CECHY NOWEGO ZWROTU

W LITERATURZE.

III.

Tendencja społeczna.

Zwroty tak w ogólnych dziejach narodów, jak i w dziejach ich literatury, nigdy nie poczynają się od pewnego wyraźnego punktu, od pewnej wyraźnej linji, któraby stanowczo odgraniczała stary zwrot od nowego. Zachodzą one zwykle jeden za drugi, nowy zwrot przez długi czas sączy się mniejszemi lub większemi strugami w starym, zanim wpłynie na wierzch pełnem korytem. Tak samo i z dzisiejszym zwrotem: początków jego potrzeba szukać głęboko w epoce romantycznej i tendencję społeczną, która stanowi jedną z głównych cech jego, znajdujemy jeszcze w czwartym dziesiątku dzisiejszego stulecia pod piórem Eugeniusza Sue, a potem Wiktora Hugo i Georges Sand.

Tendencja społeczna w literaturze jest tylko echem walki społecznej w życiu. Walka to stara, która od wieków powtarza się na rozmaitych arenach świata, na greckich agorach, na rzymskiem forum, na piazzach republik włoskich, w wąwozach gór szwajcarskich, ale nie miała dawniej na swoje usługi pary, telegrafu i druku, prowadzoną była epizodycznie i nieśmiałe tylko ślady zostawiała w literaturze. Dziś, i to od niedawna, rozwinęła się ona na całej przestrzeni cywilizowanego świata, i jakkolwiek nie zdołała stanowczo wzbić się po nad kwestje międzynarodowe, czuć jednak po jej przyspieszonym wzroście, że niedługa chwila, kiedy to nastąpi, kiedy walki międzynarodowe ustąpią pierwszego miejsca walkom społecznym.

O cóż chodzi w tej walce? Masy robotnicze, dotychczas machinalnie pracujące, jak konie w deptaku, pod wpływem oświaty, która rozwidniła ich ciemną dolę, zatrzymują się nagle i spostrzegając własną nędzę, zapytują o jej przyczynę, domagają się wyrównania społecznych nierówności i podając sobie ręce, tworzą groźną chmurę, która od czasu do czasu głuchym grzmotem przypomina się pogodnym horyzontom klas panujących i używających.

Ludzie myślący zaczynają zastanawiać się nad układem społecznym, i krytykować go; marzyciele budują wspaniałe, ale kruche wzory idealnych społeczeństw, w których bezwzględna sprawiedliwość ma panować; rozlew oświaty wydobywa z warstw niższych inteligencję, która poznaje wszystkie potrzeby klas wyższych, dzierżących władzę i bogactwo w ręku, czuje się im równą, wyższą nawet pod względem umysłowym, a mimo to skazana jest na zajmowanie podrzędnego stanowiska w hierarchji społecznej. Wszędzie niepokój, niezadowolenie, ruch, ferment.

Ten ruch odbija się w literaturze w dwóch kierunkach. W kierunku naukowym wytworzył osobną naukę socjalną, w dziedzinie literatury pięknej za szczególne narzędzie obrał sobie powieść a po części komedję. Ponieważ zajmujemy się tu wyłącznie literaturą piękną, więc socjologia do nas nie należy.

Powieść ze wszystkich form literatury pięknej jest dziś najpopularniejszą. Komedja możeby była równie popularną, gdyby dla wywarcia należytego efektu mogła się obyć bez sceny, dla niewielu dostępnej. Powieść wypełnia to wszystko, czego brakuje tekstowi komedji, odmalowuje w wyobraźni czytelnika scenę działania często żywiej, niż tego potrafią dokonać dekoracje sceniczne, daje szczegółowe portrety osób działających, a oprócz tego pozwala autorowi od czasu do czasu wyjrzeć z po za swoich jasełek i przemówić wprost od siebie do czytelnika i to tonem, jakim mu się żywnie podoba, do jakiego skłania go chwilowe usposobienie. Ztąd ogromna swoboda w formie, nęcąca ku sobie z jednej strony pisarzy obdarzonych fantazją, z drugiej ogół czytelników, zawsze lubiący rozmaitość.

Jak? gdzie? i kiedy powstała powieść nowożytna? pytania te nie należą do obecnego artykułu. Dość, że forma powieści była już od dawna gotową, kiedy się zapłodniła tendencją społeczną. Nastąpiło to naprzód we Francji, gdzie wcześniej niż w innych krajach obudził się ruch socjalny. Podczas gdy Dumas ojciec idąc za popędem danym przez Walter Skota improwizował swoje trudne do uwierzenia, ale niesłychanie zajmujące w swoim czasie romanse historyczne, na których romantyzm wycisnął może najwyrazistsze piętno, Eugeniusz Sue napisał swojego Marcina podrzutka, protoplastę późniejszych Valjeanów i szeroko otworzył wrota powieści dla społecznej tendencji. Naturalnie, że tendencja występowała tu w połączeniu ze wszelkiemi cechami romantyzmu, i z realizmem nie znała się jeszcze. Wszystko tu jeszcze bujne, awanturnicze, fantastyczne a tendencja społeczna jest tylko jakby nowym motywem wyszukanym dla romantyzmu.

Bądź co bądź odtąd pojawia się ona w literaturze powieściowej całej Europy, i czy to w powieściach francuskich, czy angielskich, niemieckich, szwedzkich, czy polskich, wszędzie odtąd występuje walka stanów, bogatego i ubogiego, arystokratycznego i plebejskiego, wcielona najczęściej w przygody miłośne dwojga kochanków. Równość stanów wobec miłości, oto jest hasło społeczno-romantycznej powieści.

Najznakomitszymi przedstawicielami europejskiej powieści z tendencją społeczną w ostatnich dwóch dziesiątkach lat są: Wiktor Hugo, Georges Sand, Thackeray, Dickens i Turgeniew. Ale jakże inaczej u każdego z tych pisarzy wygląda tendencja społeczna. U Wiktora Hugo występuje udrapowana w najjaskrawszy romantyzm; jego socjalni bohaterowie przechodzą niemal tak cudowne przygody jak rycerze Ariosta a przynajmniej jak awanturniczy bohater Dumasowskiego Monte Cristo; nie wiadomo nawet dobrze, czy efekta romantyczne nagromadzone tu są dla nadania siły tendencji społeczno-demokratycznej, czy też naodwrót tendencja społeczna służy tu tylko do wydobycia tych efektów. U pani Georges Sand w pierwszych jej powieściach, naprzykład w Valentine, tendencji społecznej towarzyszy ognista zmysłowość, z których się późniejsze jej powieści (Le meunier d'Angibault i in.) oczyszczają i miejsce tej zmysłowości zajmuje spokojny pogląd na życie, chylący się ku reali-

zmowi, ale nie pozbawiony barwy idealnej. U Thackeraya tendencja społeczna występuje jako satyra na stany wyższe, zaprawna chłodną jak żelazo, i jak żelazo zabójczą ironią; towarzyszy jej już nie romantyzm, ale najszczerszy realizm. Thackeraya zdaje się nie tyle zajmować los słabych i uciśnionych, ile go przejmuje nienawiść ku obłudzie i kłamstwu wielkiego świata. Przeciwnie fantazja Dickensa przedewszystkiem ukochała słabych, cichych, prostych i ubogich i tendencja społeczna rozpływa się tu często w liryzmie najczystszej wody; zresztą u Dickensa, jak u Szekspira, realizm nie krępuje swobodnego polotu fantazji, która lubi czasem zapędzać się na ścieżki romantyczne i lubuje się w silnych kontrastach. Wreszcie w Turgeniewie obie cechy nowego zwrotu, tendencja społeczna i realizm, występują najwybitniej. Zbliża się on najbardziej do Thackeraya, tylko że miejsce gryzącej ironji zajmuje u Turgeniewa objektywny spokój, który czasem przechodzi w jakąś niemiłą martwość. Wina tu, co prawda, nie tyle Turgeniewa, ile samego życia społecznego w Rosji, które powieściopisarz kopjuje z niesłychaną wiernością, a które nigdzie nie nastręcza jakiejś weselszej perspektywy.

Widzimy zatem, jak tendencja społeczna w powieści, urodziwszy się we Francji w chwili najwyższego rozbujania romantyzmu, skojarzyła się tam z romantycznym idealizmem, jak przeniosłszy się za cieśninę Kaletańską zaczęła się chylić ku realizmowi, i jak nareszcie pod piórem znakomitego powieściopisarza rosyjskiego połączyła się z realizmem, z którym jak się zdaje, przeznaczono jej odtąd iść w parze.

W jednym z dalszych artykułów pomówimy o tendencji społecznej w naszej powieści.

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

(Ciąg dalszy.)

Mirza rozszalał się przy herbacie, zapomniawszy o wszystkiem, ja jednak nie wtórowałem mu; raz, że byłem smutny, a powtóre, sądziłem, iż człowiekowi poważnemu, który już jest opiekunem, nie wypada dokazywać jak dzieciakowi. Tego wieczora Mirza oberwał jeszcze burzę od księdza Ludwika za to, że podczas gdy mówiliśmy pacierze w kaplicy, on wyleciał na podwórze, wlazł na nizki dach od lodowni i począł wyć. Psy podwórzowe oczywiście zleciały się ze wszystkich stron i uczyniły taki harmider wtórząc Mirzie, że nie mogliśmy mówić pacierza.

— Czyś ty oszalał, Selimie? — pyta ksiądz Ludwik.

— Ja proszę księdza modliłem się po mahometańsku.

— A ty smarkaczu! nie żartuj sobie z religji żadnej.

— A kiedy ja proszę księdza, chcę zostać katolikiem, tylko się ojca boję. Co ja tam sobie robię z Mahometa.

Ksiądz uderzony w słabą stronę, zamilkł, i poszliśmy spać. Mnie i Selimowi dano osobny pokój, bo ksiądz wiedział, że lubimy gawędzić, a nie chciał nam przeszkadzać. Kiedym się już rozebrał i zauważyłem, że i Mirza poczyna toż samo czynić bez pacierza, spytałem:

— Czy ty Selimie rzeczywiście nie modlisz się nigdy?

— A jakże. Chcesz, to zaraz zacznę.

— I stanowszy w oknie, wzniósł oczy na księżyc, wyciągnął do niego ręce, i począł wołać śpiewnym głosem:

— O Allach! Akbar Allach! Allach Kerim!

Ubrany już tylko w bieliznę, z temi oczyma wzniesionemi ku niebu, śliczny był taki, że nie mogłem od niego wzroku oderwać.

Poczem zaczął mi się tłómaczyć:

— Co ja zrobię? — mówił. — Ja w tego naszego proroka, co innym nie pozwalał mieć więcej jak jedną żonę, a sam miał ich tyle ile mu się podobało, nie wierzę. Przytem, mówię ci, że lubię wino. Nikim innym jak mahometaninem być mi nie wolno, ale ja w Boga przecie wierzę i nieraz modlę się jak umiem. Czy ja co wiem wreszcie? Wiem, że jest Pan Bóg i kwita.

A po chwili już zaczął mówić co innego.

— Wiesz co Henryk?

— Co?

— Mam pyszne cygara. Nie jesteśmy już dzieci możemy palić.

— Dawaj.

Mirza wyskoczył z łóżka i wyjął paczkę cygar. Zapaliliśmy je pokładłszy się oba i paliliśmy w milczeniu spluwając tylko w sekrecie jeden przed drugim za łóżka.

Po chwili Selim ozwał się:

— Wiesz co Henryku? Jak ja tobie zazdroszczę. Ty to już jesteś naprawdę dorosły.

— Spodziewam się.

— Bo jesteś już opiekunem. Ach! żeby tak kto i mnie zostawił kogo na opiekę.

— Nie tak to łatwo, a zresztą zkądby się wzięła taka druga Hania na świecie. Ale wiesz co — mówiłem dalej tonem dorosłego sensata — wiesz co, ja spodziewam się, że nawet już do szkół nie pójdę. Człowiek, który ma takie obowiązki w domu, nie może chodzić do szkół.

— I... bredzisz. Cóż to, nie będziesz się nic więcej uczył. A szkoła główna?

— Przecie mnie znasz, że uczyć się lubię, ale obowiązek przedewszystkiem. Chyba że rodzice poszlą ze mną Hanię do Warszawy.

— Ani im się będzie śniło.

— Póki jestem w klasach, to pewno że nie, ale jak zostanę akademikiem, to mi ją oddadzą. Cóż to ty nie wiesz co to znaczy akademik?

— Ba! ba! A może być. Będziesz się nią opiekował, a potem się z nią ożenisz.

Aż siadłem na łóżku.

— Mirza, czyś ty oszalał!

— A dlaczegoby nie. W klasach to się człowiekowi ożenić nawet nie wolno, ale akademikowi wolno. Akademik to nie tylko żonę mieć może, ale nawet i dzieci. Ha! ha!

Ale w tej chwili prerogatywy i wszelkie przywileje akademickie nie obchodziły mnie ani trochę. Pytanie Mirzy rozświeciło, niby błyskawicą, te strony serca mojego, które i dla mnie były jeszcze ciemne. Tysiące myśli niby tysiące ptaków przeleciało mi nagle przez głowę. Ożenić się z moją drogą, ukochaną sierotką, tak! to była błyskawica, nowa błyskawica myśli i uczuć. Zdawało mi się, że nagle w ciemność mego serca ktoś wniósł światło. Miłość lubo głęboka, ale braterska dotąd, poróżowiała nagle od tego światła i ogrzała się od niego nieznanem ciepłem. Ożenić się z nią — z Hanią, z tym jasnowłosym aniołkiem — z moją najdroższą, najukochańszą Hanią... Słabym już i cichym głosem powtórzyłem jak echo poprzednie pytanie:

— Mirza, czyś ty oszalał?

— Założyłbym się, że się już w niej kochasz — odparł Mirza.

Nie odrzekłem nic, zgasiłem światło, potem porwałem róg poduszki i począłem go całować.

Tak! Już ją kochałem.

III.

Drugiego, czy trzeciego dnia po pogrzebie, przyjechał wezwany telegramem mój ojciec. Drżałem, żeby nie odwołał moich względem Hani rozporządzeń, i przeczucia moje spełniły się do pewnego stopnia. Ojciec pochwalił mnie i uściskał za gorliwość i sumienność w spełnianiu obowiązków, cieszyło go to widocznie. Powtórzył nawet kilkakrotnie: nasza krew! co powtarzał wtedy tylko, kiedy był bardzo ze mnie kontent; nie domyślił się wcale o ile ta gorliwość była już interesowaną, ale rozporządzenia moje niezbyt mu się podobały. Być może, że przyczyniły się do tego trochę zbyt przesadzone opowiadania pani d'Yves, choć rzeczywiście w ostatnich dniach po owej nocy, w której uczucia moje doszły do świadomości, uczyniłem z Hani pierwszą osobę w całym domu. Również nie podobał mu się projekt kształcenia tak jak miały się kształcić moje siostry.

— Nie odwołuję i nie cofam nic. To rzecz twojej matki — mówił do mnie. — Ona postanowi co zechce. To jej wydział. Ale warto się zastanowić, jak będzie lepiej dla samej dziewczyny.

— A wszakże ukształcenie, mój ojcze, nie zaszkodzi nigdy. Sam nieraz z twoich ust to słyszałem.

— Tak, w mężczyznie — odpowiedział — bo mężczyznie ukształcenie daje pozycję, ale z kobietami inna rzecz. W kobiecie wykształcenie powino być zastosowane do pozycji, jaką ona w przyszłości ma zająć. Taka dziewczyna nie potrzebuje innego jak średniego wykształcenia; nie potrzebuje francuzczyzny, muzyki i tym podobnie. Ze średniem wykształceniem Hania prędzej sobie znajdzie męża, jakiegoś uczciwego oficjalistę...

— Ojcze!

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Co tobie jest?

Byłem czerwony jak burak. Krew mało mi nie wytrysła z twarzy. W oczach zrobiło mi się ciemno. Zestawienie Hani z oficjalistą wydało mi się takiem bluźnierstwem wobec świata, moich marzeń i nadziei, że nie mogłem powstrzymać krzyku oburzenia. A bluźnierstwo owo zabolało mnie tembardziej, że wyszło z ust ojca. Było to pierwsze oblanie zimną wodą gorącej wiary młodzieńczej przez rzeczywistość, pierwszy pocisk wymierzony przez życie w czarowny gmach złudzeń: pierwszy taki zawód i rozczarowanie, od goryczy których bronimy się pessymizmem i niewiarą. Ale jak rozpalone żelazo, gdy upadnie nań kropla zimnej wody, syknie tylko i wnet w parę i nicość

ją zamieni, tak i gorąca dusza ludzka. Pod wpływem pierwszego dotknięcia zimnej dłoni rzeczywistości, syknie wprawdzie z bólu, lecz wnet i samą rzeczywistość własnym żarem ogrzewa.

Słowa ojca więc zraniły mnie na razie, i to zraniły mnie w dziwny sposób, bo pod wpływem ich uczułem urazę nie do ojca, ale jakby do Hani, wkrótce jednak, mocą owego wewnętrznego oporu, jaki ma się tylko w latach młodzieńczych, wyrzuciłem je jak najdalej z duszy i na zawsze. Ojciec uniesienia mego nic nie rozumiał i przypisał je zbytniemu przejęciu się powierzonemi mi obowiązkami, co zresztą w moim wieku było naturalnem, — a co, zamiast rozgniewać, pochlebiło mu tylko i osłabiło jego niechęć do wyższego kształcenia Hani. Umówiłem się z ojcem, że napiszę list do matki, która przez długi czas jeszcze miała bawić za granicą i poproszę jej, aby wydała ostateczne w tym względzie postanowienie. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek napisał list równie długi i równie serdeczny. Opisałem w nim matce śmierć starego Mikołaja, jego ostatnie słowa, moje pragnienia, obawy, nadzieje; poruszyłem strunę litości, tak żywo zawsze drgającą w jej sercu, odmalowałem niepokój sumienia, jaki oczekiwałby mnie niezawodnie, gdybyśmy dla Hani nie uczynili wszystkiego co leży w naszej mocy, słowem, wedle mego ówczesnego zdania, list mój był prawdziwem w swojem rodzaju arcydziełem, które musiało wywrzeć swój skutek. Uspokojony tem cokolwiek, oczekiwałem cierpliwie odpowiedzi, która nadeszła aż w dwóch listach: w jednym do mnie, w drugim do pani d'Yves. Wygrałem bitwę na wszystkich punktach. Matka moja, nie tylko że zgodziła się na wyższe wykształcenie Hani, ale jak najusilniej je polecała. „Pragnęłabym (pisała moja dobra matka), aby, jeżeli się to z wolą ojca zgadza, Hania uważana była pod każdym względem jako należąca do naszej rodziny. Winniśmy to pamięci starego Mikołaja, jego dla nas sercu i poświęceniom.“ Tryumf mój tedy był zarówno wielki jak zupełny, a dzielił go ze mną całem sercem Selim, którego wszystko co tyczyło Hani, obchodziło tak, jak gdyby sam był jej opiekunem.

Co prawda nawet, to sympatja jaką czuł i troskliwość, jaką okazywał dla sierotki, poczynały mnie trochę gniewać, tembardziej, że od owej pamiętnej dla mnie nocy, w której doszedłem do świadomości własnych uczuć, stosunki moje z Hanią odmieniły się znacznie. Czułem się z nią jakby złapanym. Owa serdeczność i dziecinna poufałość z mojej strony znikła zupełnie. Zaledwie parę dni temu dziewczynka usnęła spokojnie na mej piersi, na samą myśl o tem włosy jeżyły mi się na głowie. Przed parą dniami na dzień dobry i dobra noc całowałem jak brat blade jej usteczka, teraz dotknięcie jej ręki paliło mnie, lubo przejmowało rozkosznem drżeniem. Poczynałem ją czcić, tak jak zwykle czci się przedmiot pierwszej miłości, a gdy dziewczyna niewinna, nie domyślająca się niczego i nie wiedząca o niczem, garnęła się po dawnemu do mnie, gniewałem się w duszy i na nią — siebie zaś poczytywałem za świętokradcę. Miłość przyniosła mi nieznane szczęście, ale i nieznane umartwienia. Gdybym miał był powierzyć komu moje umartwienia, gdybym mógł był popłakać czasem na czyjej piersi, do czego, mówiąc nawiasem, miałem nieraz dziwną ochotę, byłbym połowę ciężaru zdjął niezawodnie z duszy. Mogłem wprawdzie wyznać wszystko Selimowi, ale obawiałem się jego usposobienia. Wiedziałem, że w pierwszej chwili odczuje całem sercem moje słowa, ale któż mi mógł zaręczyć, czy na drugi dzień nie wyśmieje mnie z właściwym sobie cynizmem, i lekkomyślnemi słowy nie pokala mego ideału, którego żadną myślą płochą dotknąć nie śmiałem. Charakter miałem zawsze dość zamknięty w sobie, a przytem między mną a Selimem była jedna wielka różnica. Oto: ja zawsze byłem trochę sentymentalny, Selim nie miał w sobie za grosz sentymentalizmu. Ja mogłem kochać tylko na smutno — Selim tylko na wesoło. Ukrywałem więc swoją miłość przed wszystkimi, prawie że i przed sobą samym, i istotnie nikt jej nie dostrzegł. W parę dni, nigdy nie widząc żadnych wzorów, nauczyłem się instynktem pozorować wszystkie tej miłości objawy: często trafiające mi się pomięszanie, rumieńce, jakiemi oblewałem się, gdy Hanię przy mnie wspominano; słowem rozwinąłem niepomierną chytrość — tę chytrość, z pomocą której nieraz szesnastoletni chłopak potrafi wywieść w pole najbaczniejsze czuwające nad nim oko. Hani wyznawać moich uczuć nie miałem najmniejszego zamiaru. Kochałem ją i dość mi było tego. Czasem tylko gdyśmy pozostawali sami, popychało mnie coś, żeby naprzykład klęknąć przed nią, lub ucałować brzeżek jej sukienki.

Selim tymczasem warjował, śmiał się, dowcipkował i był wesoły za nas obydwóch. On to pierwszy wywołał uśmiech na twarz Hani, gdy pewnego razu przy śniadaniu zaproponował księdzu Ludwikowi, by przeszedł na mahometańską wiarę i ożenił się z panią d'Yves. Obrażliwa dosyć Francuzka i ksiądz nawet gniewać się nie mogli, bo jak się przymilił do niej, jak się spojrzał swemi oczyma a uśmiechnął, tak skończyło się wszystko na lekkiem połajaniu i wzajemnym śmiechu. W postępowaniu jego z Hanią znać było wprawdzie pewną czułość i troskliwość, ale i w tym stosunku przemagała wrodzona mu wesołość. Był z nią o wiele poufalszy niż ja. Widać było, że i Hania lubi go bardzo, bo ile razy wchodził do pokoju, tyle razy stawała się weselszą. Ze mnie, a raczej z mojego smutku, żartował sobie ustawicznie, biorąc go za sztuczną powagę człowieka, któremu gwałtem chce się być dorosłym.

— Obaczycie wszyscy, że on księdzem zostanie — mówił.

Wówczas ja puszczałem pierwszy lepszy przedmiot, aby schyliwszy się po niego pokryć rumieńce, jakie biły mi na twarz; ksiądz Ludwik zaś zażywał tabaki i odpowiadał:

— Na chwałę Bożą, na chwałę Bożą!

Ale tymczasem skończyły się święta Bożego Narodzenia. Moje słabe nadzieje, że zostanę już w domu, nie sprawdziły się ani trochę. Wielkiemu opiekunowi oświadczono pewnego wieczora, aby nazajutrz rano gotów był do drogi. Potrzeba było jechać rano, bo musieliśmy jeszcze wstąpić do Chorzel, gdzie Selim miał się pożegnać ze swoim ojcem. Jakoż wstaliśmy o szóstej godzinie, jeszcze po ciemku. Ach! dusza moja była tak ponurą wówczas, jak ów ranek zimowy, ciemny i wietrzny. Selim był także w jaknajgorszym humorze. Zaraz wylazłszy z łóżka oświadczył, że świat jest głupi i jaknajnędzniej urządzony, na co zgodziłem się zupełnie; poczem oba ubrawszy się, udaliśmy się ze stancji do dworu na śniadanie. Na dworze było ciemno, drobne płatki ostrego śniegu kręcone wichrem, uderzały o nasze twarze. Okna sali jadalnej były już oświecone. Przed gankiem stały zaprzężone sanki, na które znoszono nasze rzeczy; konie potrząsały dzwoneczkami, psy szczekały koło sani, wszystko to razem wzięte stanowiło dla nas przynajmniej, tak posępny obraz, że aż serce ściskało się na jego widok. Wszedłszy do jadalnego pokoju zastaliśmy ojca i księdza Ludwika, obu chodzących koło stołu z poważnemi twarzami, Hani zaś nie było. Z bijącem sercem poglądałem na drzwi zielonego gabinetu, czy też nie wyjdzie — czy odjadę nawet bez pożegnania. A tymczasem ojciec z księdzem Ludwikiem poczęli dawać nam rady i prawić morały. Obaj zaczęli od tego, że jesteśmy już w tym wieku, iż nie potrzeba nam powtarzać, co znaczy praca i nauka, a jednak obaj nie mówili o czem innem. Słuchałem tego wszystkiego piąte przez dziesiąte, gryząc grzanki i połykając ze ściśniętem gardłem ciepłą polewkę winną. Nagle serce zabiło mi tak silnie, że ledwie mogłem usiedzieć na krześle, bo w pokoiku Hani usłyszałem jakiś szelest. Otworzyły się drzwi i weszła... ubrana w ranny szlafroczek i w papiloty, pani d'Yves, która uściskała mnie czule, a której za zawód, jakiego doznałem, miałem ochotę rzucić szklankę z polewką na jej głowę. I ona także wyraziła nadzieję, że tak słuszna młodzież będzie się pewno uczyć doskonale, na co Mirza odpowiedział, że pamięć jej papilotów doda mu sił i wytrwania w pracy, Hania tymczasem nie pokazywała się.

Nie było mi jednak przeznaczonem wychylić ten kielich goryczy aż do dna. Gdy wstaliśmy od śniadania, Hania wyszła z gabinetu, zaspana jeszcze, cała różowa z potarganemi włosami na główce. Gdy uścisnąłem ją za rękę na dzień dobry, ręka ta była gorąca. Zaraz przyszła mi do głowy myśl, że Hania ma gorączkę z powodu mego wyjazdu, i odegrałem w duszy czułą scenę, ale było to poprostu ze snu. Po chwili ojciec z księdzem Ludwikiem poszli po listy, aby je nam oddać do Warszawy, Mirza zaś wyjechał za drzwi na ogromnym psie, który przed chwilą wszedł do pokoju. Zostałem z Hanią sam na sam. W oczach kręciły mi się łzy, z ust wydzierały się gwałtem gorące i czułe słowa. Nie miałem zamiaru wyznać, że ją kocham, ale parło mnie, żeby jej powiedzieć coś takiego jak: moja droga, ukochana moja Haniu! i ucałować przytem jej ręce. Była to jedyna sposobna chwila do takiego wybuchu, bo przy ludziach, choć mogłem to uczynić bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, alebym nie śmiał. Chwilę tę jednak zmarnowałem najhaniebniej. Już już zbliżyłem się do niej, już wyciągnąłem ku niej rękę, ale uczyniłem to jakoś niezgrabnie i nienaturalnie, takim nie swoim głosem wyrzekłem: Haniu! że cofnąłem się natychmiast i umilkłem. Miałem ochotę się zpoliczkować. Tymczasem sama Hania zaczęła:

— Mój Boże, jak to smutno będzie bez panicza!

*

— Przyjadę na Wielkanoc! — odpowiedziałem szorstko, nizkim, nie swoim basem.

— A do Wielkanocy tak daleko.

— Wcale nie daleko! — mruknąłem.

W tej chwili wpadł Mirza, a za nim ojciec mój, ksiądz Ludwik, pani d'Yves i jeszcze kilkoro ludzi. Wyrazy: siadać! siadać! zabrzmiały mi w uszach. Wyszliśmy wszyscy na ganek. Tu ojciec, ksiądz Ludwik, brali mnie po kolei w ramiona. Gdy przyszła kolej żegnania się z Hanią — miałem niepohamowaną ochotę porwać ją w objęcia i ucałować po dawnemu, ale nie zdobyłem się i na to. — Bądź zdrowa Haniu! — rzekłem podając jej rękę, a w duszy płakało mi sto głosów, i sto najczulszych pieszczonych wyrazów na ustach. Nagle spostrzegłem, że dziewczynka płacze i również nagle ozwał się we mnie ten przekorny szatan, ta niepohamowana chęć do rozdrapywania ran własnych, jakiej nieraz doświadczyłem później w życiu — więc choć serce pękało w kawałki, odezwałem się zimno i szorstko: „Nie rozczulajże się bez powodu moja Haniu!“ — to rzekłszy siadłem do sanek.

Tymczasem Mirza żegnał się ze wszystkimi. Przybiegłszy do Hani, porwał jej obie ręce, i mimo, że dziewczynka się wydzierała, począł całować zapamiętale to jedną to drugą. Ach! jakąż miałem ochotę wybić go w tej chwili. Wycałowawszy Hanię, wskoczył do sanek. Ojciec krzyknął: ruszaj! Ksiądz Ludwik począł żegnać nas krzyżykiem na drogę. Furman krzyknął: Hetta! ho! na konie; zabrzęczały dzwonki, zaszumiał śnieg pod płozami i ruszyliśmy w drogę. — Łotrze! rozbójniku! — zacząłem wołać na się w duszy. — Tak to pożegnałeś swoją Hanię! dokuczyłeś jej, połajałeś za łzy, których jesteś nie wart... za łzy sieroce...

Podniosłem kołnierz od futra i rozpłakałem się sam jak małe dziecko, ale cicho, bo bałem się żeby nie schwytał mnie na płaczu Mirza; pokazało się jednak, że Mirza widział to doskonale, tylko że sam był wzruszony, więc nie powiedział mi nic na razie. Nie dojechaliśmy jeszcze jednak do Chorzel, gdy ozwał się:

— Henryk!

— Co?

— Beczysz?

— Daj mi pokój.

I znowu zapanowało między nami milczenie. Ale po chwili Mirza znów:

— Henryk!

— Co?

— Beczysz?

Nie odpowiedziałem nic; nagle Mirza pochylił się, złapał ręką śniegu, podniósł mi czapkę, rozpruszył mi śnieg na głowie i przykrył ją znowu, mówiąc:

— To cię ochłodzi. (C. d. n.)

LEON SAPIEHA.

(Ciąg dalszy.)

Jakoż przydały się. W roku 1831 strzelały polskie działa na Moskali temi sapieżyńskiemi kulami.

Niespokojne początki rządów Mikołaja stały się dla Sapiehy powodem częstych podróży służbowych. Zaledwie powołany z fabryk do Warszawy w r. 1829, aby być świadkiem koronacji Mikołaja, wyjechał zaraz znowu do Petersburga, a przepędziwszy tam zimę wrócił na wiosnę w r. 1830 do Warszawy, zkąd znowu zaraz po sejmie udać się musiał z Lubeckim do Paryża dla ważnych spraw finansowych.

W kilka dni po przybyciu do Paryża wybuchła rewolucja lipcowa.

Wiemy to z opowiadań ustnych śp. ks. Leona że był właśnie na dyplomatycznym obiedzie u ks. Broglie, gdy usłyszano wrzawę i wystrzały na ulicy a równocześnie ostrzeżono zgromadzonych, że rewolucja wybuchła.

Ruch na ulicach był zatamowany, towarzystwo arystokratyczne, pomne czasów Robespierra i Marata widziało się już wystawionem na rzeź. W pierwszem przerażeniu schronili się wszyscy w swoich balowych strojach do piwnic pod pałacem. Przez okna piwniczne słyszano zgiełk i salwy wystrzałów a widziano stopy tłumiących się po ulicach. Wreszcie zaczęto myśleć o oswobodzeniu się z nieprzyjemnego schowku.

Rada w radę, znając sympatję ludu francuskiego uchwalono młodego a ładnego Polaka (co także nie jest bez wpływu na umysły francuskie) wysłać na próbę, jak owego gołębia z arki Noego.

Nie była to sprawa zbyt bezpieczna. W herbowym powozie ubrany po balowemu, ze służbą w liberji, przejeżdżać między tłumy ludu rozgrzanego *marsylianką* i wołającego *à bas les aristocrats*, wymagało to wówczas niemniejszej odwagi, jak stawać na polu bitwy, a może i większej — bo bezbronny naprzeciw zbrojnym tłumom. Jakoż zatrzymywano powóz księcia co kilka kroków, zapytując groźnie:

— Kto jedzie? Dokąd? Poco?

Jedno słowo rozpraszało gniewne tłumy i torowało drogę do swobodnego przejazdu.

— Polak jedzie.

Z okrzykiem: *Vive la Pologne* puszczano księcia dalej a w dowód zaufania wrzucano do powozu rozmaite sprzęty, które przechodniom zawadzały, tak że wkrótce była książęca kareta zapełnioną całym rynsztunkiem kuchennych i innych podobnych przyborów.

O pielgrzymce tej ks. Leona po ulicach zrewoltowanego Paryża wspomnieliśmy nietylko dlatego, że cechuje ona bardzo wybitnie usposobienie ówczesne ludu francuskiego dla Polaków, ale i dla innego, niezbyt dla nas pocieszającego powodu. Po latach blisko pięćdziesięciu musimy sobie stawiać pytanie: czy owe tak przyjazne dla Polski usposobienie nie zmieniło się we Francji. Zaprawdę, pochlebianie caryzmowi ze strony republikańskiego dziennikarstwa kazałoby nam bardzo źle sądzić o Francji w tej mierze, gdybyśmy nie wiedzieli, że jak u nas, tak i we Francji niewszystkie dzienniki bywają szczerymi tłómaczami usposobień narodowych, ale powodują się bardzo często względami na to, co im się chwilowo korzystnem być zdaje, nie zaś na to, co dyktuje uczucie, sumienie, a nawet często bez względu na własne zasady.

Po wybuchu rewolucji nie było mowy o załatwieniu finansowego interesu, dla którego ks. Leon z ks. Lubeckim do Paryża przyjechali.

Korzystając z tej zwłoki w rokowaniach finansowych udał się ks. Leon na kilka tygodni do Anglji aby tam zwidzić znaczniejsze fabryki machin, bo już wtedy zajmowały go bardziej sprawy ekonomiczne niż ruch polityczny. Zresztą jako urzędnik carski i podróżując za moskiewskim paszportem nie mógł on nawet okazywać zajęcia się nowym zwrotem stosunków politycznych.

Podczas tego pobytu w Anglji był ks. Leon świadkiem otwarcia pierwszej w Anglji kolei żelaznej z Londynu do Liwerpoolu. Nie przeczuwał on wtedy zapewne, że będzie kiedyś założycielem pierwszej kolei żelaznej w Galicji.

Gdy powrócił do Paryża zastał tam nowy porządek rzeczy, interesa finansowe szły już dawnym torem, ale rokowania ks. Lubeckiego z domem Rotszyldów zostały zerwane z powodu powstania w Polsce. Pierwszą wiadomość o powstaniu otrzymał Sapieha od Rotszylda.

W pamiętniku swoim wspomina ks. Leon o wybuchu powstania w Polsce z wielkim żalem i tłómaczy to swoje zapatrywanie: „Nie jakobym był przeciwny biciu się o wolność i niepodległość, ale chwila wybuchu była i źle wybraną i nie byliśmy przygotowani“.

— A kiedyż my będziemy przygotowani? nasuwa się pytanie. Jeżeli się nie przygotowujemy, to nie będziemy nigdy przygotowani, a jeżeli powstać mamy tośmy powinni zawsze być gotowi.

Wówczas podobno myślał inaczej młody Sapieha, bo zamierzył porzucić swoją finansową i dyplomatyczną karjerę, a stanąć w szeregach walczących z bronią w ręku.

Rozkaz rządu narodowego wstrzymał wykonanie tego zamiaru. Rozkaz ten opiewał, aby pozostał w Paryżu i starał się uzyskać u rządu francuskiego, jeżeli nie pomoc, to przynajmniej traktowanie naszej sprawy w ten sam sposób, jak traktowano oderwanie się Belgji od Holandji.

Otrzymawszy taki rozkaz udał się Sapieha zaraz do Sebastianiego i postawił mu kategoryczne pytanie: na co ze strony Francji liczyć możemy?

Sebastiani odpowiedział, że wyjedna pomoc rządu swego, jeżeli to będzie powstanie rzeczywiste, ogólne, narodowe; zresztą radził przedewszystkiem pozyskać Anglję do wspólnego działania z Francją.

Pojechał więc Sapieha natychmiast do Londynu i tam rozpoczął rokowania z lordem Grey, ówczesnym prezydentem ministrów. Przypominał on lordowi Grey jak tenże gorąco nieraz przemawiał w sprawie Polski i jak w broszurze napisanej przeciw kongresowi wiedeńskiemu, w r. 1815, protestował przeciw rozbiorowi Polski.

Na te przełożenia Sapiehy odpowiedział lord Grey z najzimniejszą krwią: *że w zasadzie zgadza się i dziś z tem co pisał w broszurze, ale z politycznych względów musi sobie nawet życzyć, aby Rosja przytłumiła jak najprędzej powstanie i miała wolne ręce do trzymania Francji w szachu, gdy ta zechce sięgnąć po Belgję.*

Rokowania Sapiehy z Greyem zostały przerwane przez przybycie Wielopolskiego, któremu rząd narodowy przekazał misję do Anglji. Sapieha zdał swoje czynności w Anglji Wielopolskiemu, sam zaś wrócił do Paryża.

Wiadomo na czem się skończyły te dyplomatyczne rokowania. Potem, co Grey oświadczył Sapieże nie powinien się był Wielopolski nawet łudzić, że coś uzyska, tymczasem Wielopolski przez zachowanie się swoje bez taktu tak dalece sobie zraził wpływowych członków parlamentu i ministrów, że go nawet nikt przyjmować nie chciał. W opowiadaniach swoich ustnych przypisywał ks. Leon złe przyjęcie Wielopolskiego przez angielskich dyplomatów wpły-

wom księżny Lieven a głównie to, że Palmerston nie chciał się nawet widzieć z Wielopolskim.

Aby się rozmówić z Palmerstonem musiał Wielopolski użyć tego fortelu że znajdując się w jednym z salonów londyńskich prosił Sapiehę, aby go przedstawił Palmerstonowi. Wtedy udało się wszcząć rozmowę o sprawie polskiej — lecz Wielopolski dowiedział się tyle co Sapieha już wiedział.

Ks. Leon nie uzyskawszy nic w drodze dyplomatycznej postanowił wrócić do kraju i wstąpić w szeregi walczących.

Przed wyjazdem starał się, stosownie do polecenia rządu narodowego zjednać między generałami francuskimi zdolnego wodza dla Polski.

Z pamiętnika księcia Leona dowiadujemy się tylko, że kilku się zgłosiło, ale że wymagania ich co do zabezpieczenia bytu dla nich i ich rodzin były tak wygórowane, że w imieniu rządu narodowego przyjąć ich nie mógł. Podaje także ks. Leon, że ofiarował na to wszystko, co posiadał i wszystkie klejnoty swojej żony, ale że wszystko to było za mało do pozyskania choćby jednego. Z ustnych opowiadań ks. Leona zapamiętamy, że jednego już był pozyskał i już były klejnoty księżny Jadwigi zastawione, aby go zaspokoić gdy nagle generał Gérard dał mu inne przeznaczenie i cała rzecz się rozbiła.

Nie wdając się w sąd o ówczesnym rządzie narodowym stwierdził ks. Leon takiemi zeznaniami jego nieudolność.

Że Sapieha porzuciwszy działanie dyplomatyczne za granicą wstąpił w szeregi walczących w kraju, do tego przyczynił się sam rząd moskiewski. Sapieha pozostawał za granicą za paszportem moskiewskim, co mu wielce ułatwiało jego czynność i torowało przystęp do wszystkich kół dyplomatycznych. Ale widocznie, aby nie mógł korzystać z tego stosunku, zawezwał go *Nesselrode* listem pisanym do posła moskiewskiego w Paryżu, *Pozzdi Borgo* z polecenia cara aby wracał do Petersburga. List ten opiewał, że car kochając Sapiehę jak własnego syna, liczy na niego i rozkazuje mu, aby przyjeżdżał do niego, a kończył się groźbą, iż będzie uważany za zdrajcę jeżeli tego rozkazu nie usłucha.

Aby bezpiecznie wracać do ojczyzny udał Sapieha, że usłuchał rozkazu i wziął paszport na Berlin i Wrocław do Petersburga. Znał on jednakże nadto dobrze rząd moskiewski, ażeby mu zaufać. Obawiając się zdrady lub zasadzki wziął drugi paszport, francuski, na inne nazwisko. Jakoż nie omylił się, bo zaledwie przybywszy do Wrocławia został ostrzeżony, że ma być schwytany i odstawiony pod strażą do Petersburga.

Uciekł więc z Wrocławia i za paszportem francuskim dostał się z wielką trudnością do Krakowa a ztamtąd do Warszawy.

Od tej chwili poczyna się wojskowa karjera Sapiehy, której nie zawdzięczał bynajmniej protekcji, ale waleczności i umysłowym zdolnościom a oraz praktyce nabytej w kopalniach i fabrykach górniczych.

Przybywszy do Warszawy udał się zaraz do znajomego mu generała Kamińskiego, który wybierając się do głównej kwatery, stojącej wówczas między Miłosną a Mińskiem wziął Sapiehę ze sobą.

Wstąpił tam ks. Leon jako szeregowiec do 2go pułku ułanów. Wkrótce został on awansowany na podporucznika, a na naleganie gen. Prądzyńskiego przeszedł do głównego sztabu.

Gdy Skrzynecki wysyłał gen. Chrzanowskiego z korpusem na Wołyń, przydzielił mu jako adjutantów Leona Sapiehę i Romana Sanguszkę.

W bitwie pod Lubartowem padł pod ks. Leonem koń i otrzymał tak silną kontuzję w krzyże, że stracił przytomność i uznano go za zginionego.

Po bitwie pod Ostrołęką został przez naczelnego wodza powołany do Warszawy i ozdobiony krzyżem *virtuti militari* na przedstawienie gen. Chrzanowskiego. Tu przydzielono go jako adjutanta generałowi Jankowskiemu, z którego korpusem brał udział w bitwie pod Łysobokami, a powróciwszy z tymże korpusem do Warszawy powołany został znowu do głównego sztabu naczelnego wodza.

Po przejściu naczelnego dowództwa w ręce gen. Dembińskiego uległ naleganiom gen. Bema i przyszedł do niego jako adjutant. Bem niezadowolony z kierownictwa arsenałem przez gen. Bontemps chciał to kierownictwo Sapieże powierzyć, na co tenże się zgodził tylko pod warunkiem, że zostanie w szeregach aż do chwili, gdy się Warszawa od oblegającego ją Paszkiewicza uwolni. Toż zajęcie Warszawy zastało go w szeregach jako kapitana 1szej klasy, którym jeszcze w ostatnich chwilach został mianowany na przedstawienie Bema. (C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA
DO CHIWY
BURNABY'EGO
KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

III.

„Zaledwie wsiadłem do coupé I klasy na kolei petersburgsko - moskiewskiej — pisze Burnaby — kiedy w tem weszły do wagonu dwie panie, czarno ubrane, z srebrną tacką w ręku. „Dla rannych Hercogowińców!“ odezwały się do mnie i do kilku mężczyzn, siedzących w *coupé*.

— Oh! dla braci naszych, którzy walczą za wspólną naszą sprawę. Chętnie oddałbym wszystko co mam, żebym wiedział, że tych łotrów Turków wypędzimy z Europy — odezwał się jeden z podróżnych i rzucił kilka banknotów na tackę.

Inni poszli za jego przykładem; rzuciłem więc i ja parę rubli, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

— Dziekujemy ci bracie — rzekł do mnie jeden z podróżnych, poznawszy we mnie cudzoziemca.—My — dodał — musimy wszelkie ponosić ofiary, aby rana zadana Turcji nie mogła się zagoić. Turcję musimy rozbić, to darmo, cokolwiekby to nas kosztowało. Cóż nam bowiem po flocie na Czarnem morzu, kiedy Dardanelle są dla nas zamknięte. Owoż im dłużej walka będzie trwała w Hercogowinie, tem prędzej my będziemy w Konstantynopolu.

— Ale co na to powie Anglja? — odważyłem się zapytać.

— Anglja — ależ ona nie ma już dzisiaj żadnego znaczenia. Duch kupiecki przyprowadził ją do takiej obojętności, że można ją sto razy kopnąć nogą, nim się raz wierzgnąć odważy. Jakże naprzykład mogła pozwolić ks. Gorczakowi unieważnić traktat paryzki?

— Ale bo też Gorczaków doskonały upatrzył moment, — wtrącił któryś z passażerów — było to w parę miesięcy po Sedanie.

— Po Sedanie czy przed Sedanem, to wszystko jedno! Anglja jest jak byk zapasiony, który swych rogów użyć już nie umie.

— Ależ flota angielska — zauważyłem nieśmiało.

— Cóż ona nam zrobi? Blokować będzie nam porty na Bałtyku? To samo przecież robi mróz co roku przez sześć miesięcy. Powstrzyma eksport zboża naszego do Anglji? To cena chleba podwoi się w Londynie. Floty jej zgoła nie boimy się, a przecie drugi raz armji swej nie poszle do Krymu.

— A choćby i posłała — wtrącił inny — toć mamy już tyle kolei żelaznych, że potrafimy na każdym punkcie brzegów naszych skupić potrzebną ilość wojska.

— Anglja może się postarać o sprzymierzeńców — rzekłem rozdrażniony nieco tą głupią buffonadą.

— Jakich, jeżeli łaska? Niemców może albo Austrjaków? Niemcy to są wieprze, do których nam już dzisiaj ręce świerzbią. Niech tylko carewicz wstąpi na tron a zalejemy my im dobrze za skórę. Przedewszystkiem wypędzimy z kraju całe to plemię gburów, które się utoczyło na naszym chlebie.

— Przypuść pan jednak, że Anglja zwycięży.

— Śmieszne przypuszczenie! Ale zresztą, niech i tak będzie, to co nam zrobi? Gdzie jest ten punkt, w który nam cios śmiertelny zadać może?

— Będąc w sojuszu z Niemcami, mogłaby im oddać w nagrodę za pomoc prowincje nadbałtyckie.

— Na nich nam wcale nie zależy. Za Konstantynopol darmo oddalibyśmy je Bismarkowi i Bismark wie o tem, dla tego nawet trzyma się naszej poły. Wie on dobrze, że za pomoc w rozbiciu Turcji dostanie od nas ten szmat ziemi nad Bałtykiem.

— Et! lepiejby było — wtrącił inny — nie wchodzić w żadne umowy z Niemcami. Mojem zdaniem najwięksi nasi wrogowie to Prusacy, wyjąwszy chyba Austrjaków. Ale tych się nie boimy i pierwej czy później spożyjemy ich na śniadanie.

— A któraż z wojen byłaby popularniejszą w Rosji, — z Austrją czy z Niemcami?—zapytałem.

— Rozumie się, że z Austrją, choćby już dla tego, że nam łatwiej byłoby dostać się do Wiednia niż do Berlina. Z armją Moltkego niełatwo się sprawić. Zresztą Bismark nie da nam teraz z pewnością powodu do wojny. Będzie on wszystko tak kierował, abyśmy się wprzódy zmierzyli z kim innym. Pobijemy Austrję, to on zabierze jej niemieckie prowincje. Pobijemy Anglję, to on przygarnie do siebie Hollandję, nas pobiją, to on zabierze nadbałtyckie prowincje. Oh! on mądry, ale niedoczekanie jego. Niech tylko carewicz wstąpi na tron... Ale pan może jesteś Niemcem?

— Broń Boże! — zawołałem żywo — jestem Anglikiem i dziękuję panom serdecznie za tak nauczającą rozmowę.

Nazajutrz rano przybyliśmy do Moskwy. Pociąg zatrzymywał się na parę godzin, skorzystałem więc z tej pauzy aby w przelocie obejrzeć to miasto, tak oryginalne i tak niepodobne do innych miast europejskich, a odwiedziwszy znajomych w konsulacie i wypiwszy filiżankę herbaty w *traktirze*, wróciłem na dworzec i w chwilę potem pędziłem już koleją do Razania.

Do Moskwy, Rosja przedstawia się jeszcze jako tako. Jest wprawdzie dziką, pełną wad i stron ujemnych, ale posiada obok nich pewien pokost cywilizacyjny. Pokostowane są zwłaszcza wszystkie te instytucje, z któremi podróżny miewa styczność, jak np. hotele, koleje żelazne etc. Natomiast od Moskwy i dalej w głąb caratu, odsłania się Rosja prawdziwa, w całej swej nagości, tak jak wyszła z rąk Boga i z panowania carów. Co przedewszystkiem uderza, to oprócz pijaństwa i najpospolitszej gburowatości, dziwny brak poczucia własności, zwłaszcza własności publicznej. Niemożebnem jest społeczeństwo złożone ze złodziei, okradających się nawzajem. Przypuszczać tedy wolno, że Moskale zgromadzeni w salonie, nie wykradają sobie chustek i potmonetek z kieszeni. Ale to pewna, że ci sami Moskale, którzy w salonie zachowują się pod tym względem przyzwoicie, nie robią sobie najmniejszego skrupułu w okradaniu rządu i wszelkich instytucji publicznych. Oto próbka. Na jednej ze stacyj, gdzie się rozdzielały dwie linje, podchodzę do kasy i żądam biletu. „Której klasy?“ pyta mnie urzędnik. Pierwszej — odpowiadam. „To może pan zechce wziąć bilet trzeciej i dać mnie kilka rubli, a ja już tak urządzę, że pan pojedzie pierwszą,“ — z bezczelnością niedającą się opisać zaproponował mi pan *czynownik*. Wątpię czy gdzie w Europie usłyszał kto kiedy taką propozycję. Zapewne nie widział także takiej sceny jakiej byłem świadkiem w Riazaniu. Przyjechaliśmy w nocy, mróz był szalony i musieliśmy godzinę czekać na dworcu. Tymczasem w sali gościnnej widocznie przez oszczędność nie zapalono w piecu. Jakiś Moskal, który jechał w tym samym co ja *coupé*, a który widocznie należał do *high life* moskiewskiego, bo ciągle rozmawiał tylko po francusku, wszedłszy do sali i przekonawszy się, że jest nieopalona, wpadł w gniew tak straszny, zaczął tak od ostanich słów i przekleństw łajać naczelnika stacji i cały personal urzędniczy, że byłem pewny, iż w końcu ich pozabija. Skończyło się jednak na tem, że obił posługacza, starego i biednego człowieczynę, który pewno Bogu ducha winien i który niewątpliwie nie omieszkałby zapalić w piecu, gdyby mu drzewo wydano. W sali ogrzewali się tymczasem podróżni wrzącą herbatą najspokojniej w świecie, jak gdyby nic nie działo się w ich oczach takiego, co do głębi oburzało uczucie ludzkie. Widocznie byli przyzwyczajeni do scen podobnych.

Ilość herbaty, jaką pomieścić może żołądek moskiewski, przechodzi wszelkie wyobrażenie nietylko zwykłych ludzi, ale nawet praczek angielskich, które przecie mają pod względem amatorstwa do herbaty ustaloną reputację. Ale co jest charakterystyczne, to to, że Moskale piją ją nader oszczędnie; z jednym kawałkiem cukru trzymanym w zębach wypijają kilka filiżanek.

W Sizeranie kończyła się kolej. Była to ostatnia stacja, ostatni posterunek cywilizacji! Czy możesz sobie, czytelniku, wyobrazić ostatnią stację kolei, ten brzeg świata, ten jego kraniec? Dalej po za nim nic — dzicz, pustynia, ciemnota, brak wszystkiego, do czegośmy się przyzwyczaili, co wpoiło się w nas i stało się niemal drugą naszą naturą. Tyle już razy w Indjach i w Afryce wysiadałem na ostaniej stacji kolejowej, że już zdawało się, powinienem był się przyzwyczaić do wrażenia połączonego z żegnaniem się z koleją. A jednak w Sizeranie dreszcz mnie pewien ogarnął. Może to dla tego, że był straszny mróz, termometr Reaumura wskazywał 20° poniżej zera.

Dalsza podróż miała się odbywać w saniach. Pewien Moskal, który jechał ze mną w *coupé*, a udawał się także jak i ja do Samary, zaproponował mi, abyśmy wspólnie najęli trójkę, bo nie tylko będzie to nas taniej kosztowało, ale nadto bezpieczniejsi będziemy i od wilków, które stadami włóczą się w tych okolicach i od zbójów, którzy bodaj czy jeszcze nie są niebezpieczniejsi od wilków. Przystałem więc chętnie, zwłaszcza, że Moskal podjął się wyszukania owej trójki i że przytem dawał mi gwarancję, iż jako człowiek, bywały w tych okolicach, zna drogę na tym śnieżnym stepie i w razie jakiejś katastrofy potrafi i siebie i mnie wyratować.

I w samej rzeczy Moskal ten parę razy wielką mi oddał usługę. Pierwszą zaraz na wstępie. Kiedy już miałem wsiadać do sani, zwrócił moją uwagę, że w tym stroju, w jakim jestem, nie dojadę do Samary, lecz zmarznę na drodze; a byłem przecie odziany w futro od stóp do głowy. Mróz dwudziestostopniowy, to bagatelka— rzekł do mnie — drobnostka, na którą my uwagi nie zwracamy; ale ten sam mróz z takim wiatrem jaki jest dzisiaj, suchym, północno-wschodnim wichrem, jest to coś tak strasznego, przed czem nigdy za nadto zabezpieczyć się nie można. Chodź pan tedy na stację, muszę pana odziać po naszemu. I odział też mnie co się zowie, niemal cały tłumok włożył na mnie. Wszystkiego, co jest natury flanelowej, kazał mi po trójce włożyć, jak gdyby się kochał w trylogji platonowskiej, a może tylko w swych rodzimych trójkach. Następnie wdział na mnie kaftan, palto zimowe, futro, płaszcz parusinowy, opasał mnie szalem, obwiązał jeszcze sznurami, słowem nadał mi kształt taki, jaki mają westfalskie szynki. Jako szynkę włożył mnie do sani, wsiadł sam i krzyknął „pazoł.“ Jak strzała popędziliśmy naprzód z chyżością 16 kilometrów na godzinę. Ponieważ oddech, zamarzając na wąsach i brodzie, nałożył wkrótce lodowaty kaganiec na usta nasze; ponieważ nadto uszy mieliśmy tak osłonione futrem, że nie usłyszelibyśmy i strzałów armatnich; przeto też rozmawiać nie mogliśmy wcale. Wielka, nieoceniona przyjemność w podróży. Mogłem milczeć bez uchybienia prawom i zwyczajom towarzyskim. To też zawzięcie milczałem i myślałem, ale o czem, czy zgadniesz czytelniku? o trójce, o jej środkowym *rysaku*, nie puszczającym się nigdy galopem. Rysak w trójce jest najważniejszym koniem, on głównie ciągnie i chyżość jego biegu stanowi o chyżości jazdy; galopeny zaś, to rwący się naprzód postępowcy *quand même*, tworzący więcej kurzawy niż realnej pracy. A zatem i w trójce, to co jest najważniejsze, stoi po środku. Jaka szkoda, że Moskale trójki nie narysowali na swym herbie. Patrząc na nią i przejmując się jej symbolem, możeby więcej przynieśli korzyści światu a sobie cywilizacji, niżeli dzisiaj czerpiąc natchnienie w tym swoim potworze o dwóch głowach, którym się pieczętuje kanclerz ich państwa.

W rozmyślaniach nad trójką i nad mnóstwem innych specyficznie moskiewskich rzeczach, jak np. nad bałwochwalczem ubóstwianiem *i kon* (obrazów świętych), nad znamionami judaizmu, przebijającemi u Moskali, nad ich skłonnością do kradzieży i włoczęgi, nad ich idolatrją cara i jego rodziny, nad *sterlatią*, poławianą w Wołdze, i jesiotrem, z którego ikry przyprawiają kawior; dojechał kapitan Burnaby do Samary po kilku dniach mozolnej wędrówki, urozmaiconej przygodami tak pospolitemi i u nas w zimie, jak np. zamieć śnieżna lub zabłądzenie na stepie, a które wszakże dla Anglika wydawały się czemś okropnem.

W Samarze kupił sobie duże sanie, przyczem go naturalnie niepospolicie a raczej zupełnie pospolicie oszukano, i pożegnawszy się ze swoim towarzyszem podróży, który zostawał w Samarze, puścił się odtąd sam w drogę do Orska, oddalonego od Samary o 140 mil. Z początku szło mu jakoś nie źle. Mróz 25 stopniowy przy zupełnie spokojnem powietrzu czynił podróż dość znośną. Aliści pewnego dnia, temperatura podniosła się wprawdzie, ale za to zerwał się stepowy wicher z nawalnicą śnieżną. Już miało się ku zachodowi słońca, kiedym opuszczał stacją pocztową, której naczelnik nakłaniał mnie usilnie, abym pozostał na noc, pisze Burnaby. Ponieważ jednak każdy taki poczmistrz jest zarazem restauratorem stacji, przeto jego argumenta przemawiające przeciw dalszej podróży, budziły we mnie pewne podejrzenie. Myślałem sobie, że nakłania mnie do pozostania, aby na moim noclegu zarobić. A do następnej stacji, którą w marszrucie mojej wyznaczyłem sobie na nocleg, miałem tylko wiorst 25. Kazałem tedy jechać. Wiatr wiał szalenie i wył tak okropnie, iż chwilami absolutnie uwierzyć nie można było, aby to wycie nie pochodziło z tysiąca krtani jakichś żywych istot. Wprost przysiągłbyś, że gdzieś w oddaleniu są ludzie i tych ludzi jest tysiące, i oni płaczą i jęczą pod wrażeniem strasznego bolu. Nic więc dziwnego, że tutejsi mieszkańcy wierzą w pokutnicze duchy, unoszące się w powietrzu i wypełniające je swoim jękiem. Zaledwie ujechaliśmy wiorst parę, kiedy do wiatru dołączył się śnieg, ale tak obfity, o płatkach tak dużych i tak gęsto spadających, że po kilku minutach na wpół marzenia, na wpół drzemki, budzę się nagle, wytrzeszczam oczy, nic nie widzę, przecieram rękawem i wytrzeszczam jeszcze lepiej, że nakoniec zaledwie dostrzegam jakieś kontury ciemniejsze, świadczące o istnieniu mego furmana. Hej, Trofimie! spisz?[1] Okazało się, że spał rzeczywiście. Obudził się, klasnął biczem po koniach i jedziemy dalej. Po kilku jednak minutach zatrzymuje konie i rzecze do mnie, że nie widzi słupów telegraficznych i przeto przypuszcza, iż zjechał z drogi. Stajemy tedy, on złazi z sani i idzie szukać traktu. Mija, jak przypuszczam, kwadrans, mija drugi, a furmana nie ma. Rozpacz mnie ogarnia, sam nie wiem co z sobą począć, drogi nie znam, zresztą nic przed sobą nie widzę. Mija znowu kwandrans, noc już zapada, ciemności stają się co raz większe, a jego nie ma. Widocznie więc zbłądził. Na szczęście przychodzi mi na myśl doświadczenie Tyndalla, że wśród padającego śniegu doskonale rozchodzi się dźwięk; zdejmuję karabin z plec i strzelam raz, drugi, trzeci. Na odgłos strzałów, zjawia się wkrótce furman, który rzeczywiście tracił już nadzieję odszukania mnie; ale oświadcza, że absolutnie nie wie gdzie jest droga, i że nam nic innego nie pozostaje jak zawrócić konie i zdać się na łaskę ich instynktu. I ten furmański koncept uratował nam życie. Po parogodzinnej włóczędze dotarliśmy szczęśliwie do stacji, którą opuściliśmy przed kilku godzinami.

Poczmistrz przyjął mnie z tą życzliwością, jaką to zwykle żywimy do tych, którzy swą lekkomyślnością dali nam sposobność popisania się z naszem doświadczeniem lub rozumem. Za odniesiony nad nimi tryumf chętnie płacimy im serdecznością. Był tedy p. poczmistrz nieskończenie dla mnie serdeczny i gościnny, tak dalece, że uważał za swój obowiązek bawić mnie rozmową.

— Jaka to szkoda — rzecze do mnie — że zniesiono paszporta. Dawniej, bywało, przyjeżdża podróżny, biorę więc przedewszystkiem od niego paszport i wiem z kim mam do czynienia. Dzisiaj, jakże tu odgadnąć kogo się ma w swoim domu? Może kto być książę, a mimo to będę do niego mówił *Wasze Błagorodje*, kiedy potrzeba mówić *Wasze Sijatielstwo*; a może znów być mieszczaninem, kupcem lub coś podobnego, a mimo to będę go tytułował *waszem błagorodjem*, kiedy do mieszczan należy mówić po prostu *Wy*.

— Mów pan *wy* i do mnie — odpowiadam spokojnie.

— *Nielzia*, nie można, jakżebym mówił *wy*, przecie tyle mam doświadczenia, aby odrazu odróżnić *wysoką osobę*. (C. d. n.)

O BUDOWIE
LUDZKIEGO ORGANIZMU I JEGO ŻYCIU

przez

Dr. Gustawa Polińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Przechodzę z kolei do funkcji spożywania i trawienia. Kęs chleba, który, spożywamy najpierwej zostaje zgryziony zębami. Zęby osadzone w górnej i dolnej szczęce rozdrabniają pokarmy. Szczęka górna jest nieruchomą, dolna zaś osadzona jakby na zawiaskach posuwać się może ku górze, ku dołowi, w tył, naprzód, na prawo i na lewo. Ślina, która się z gruczułków większych zwanych śliniankami, oraz z mniejszych przyrządów umieszczonych w błonie śluzowej ust wydobywa, zwilża pokarmy, ułatwia ich połykanie, a także chemicznie na nich odziaływa zamieniając mączkę na cukier. Już więc w ustach sprawa trawienia jest rozpoczętą. Dalej za pomocą ruchów języka i mięśni gardzielowych, kęs pokarmu przesuwa się do rury błoniastej, zwanej przełykiem, który to przełyk umieszczony jest wewnątrz klatki piersiowej wzdłuż kolumny kręgowej, przełyk ten łączy się z żołądkiem. Żołądek, jest to pęcherz o grubych dosyć ścianach, posiadających włókna mięsne, wewnątrz wysłanym jest błoną śluzową, ułożoną w składki i fałdy. W ścianach żołądka znajdują się gruczoły, wyrabiające sok żołądkowy, który ma własność rozpuszczania wszelakich strawnych a przeważnie białkowatych substancji, jakie dostają się do wnętrza żołądka. Dzięki włóknom mięśniowym, żołądek może się kurczyć i odbywać ruchy. W skutek tych ruchów przesuwa on i miesza z wydzielinami swemi substancje pożywne, a po niejakim czasie przesuwa je dalej do tak zwanej dwunastnicy, która jest początkiem kiszek cienkich. Tam to przez kanalik, przez błoniastą rurkę wlewa się żółć z wątroby, oraz sok z organu zwanego trzustką.

Żółć składa się z kwasów tłuszczowych, sody, cholestearyny, ma w sobie także materje barwiące (barwniki), a wyrabia się w komórkach wątrobowych. Jestto płyn zawierający 20 części stałych a 80 płynnych, jest ona potrzebna do trawienia i przeróbki pokarmów. W wątrobie także wyrabia się cukier, bardzo potrzebny dla życia, a nadmierne wytwarzanie tego cukru wywołuje chorobę, która się nazywa *djabeles mellitus* w naukowym, a *suchoty cukrowe* w popularnym języku. Pokarmy przemienione w rodzaj emulsji, a raczej papki zostają wessane przez kiszki. Nabłonek wyścielający takowe posiada ową własność chłonienia w sobie. On w formie stożkowatych komórek pokrywa maleńkie brodawki i kosmki. Skoro się emulsja pokarmowa z nim zetknie, zaczyna on pęcznieć, powiększa w trójnasób pierwotną objętość i zabarwia się białawo. Z nabłonka przechodzi pokarm do brodawek, które mają mały kanalik w środku, i płynie dalej w naczynia chłonne, a ztamtąd do żył do krwi. Części pożyteczne przyswajają się, nieużyteczne wydzielają.

Pomijając inne żywotne funkcje, przechodzę obecnie do systemu nerwowego. Mózg umieszczony w czaszce i rdzeń kręgowy, zawarty w kanale kolumny pacierzowej, są ośrodkami tego systemu. Mózg składa się najpierwej z dwóch półkul symetrycznych, posiadajcych na powierzchni zawoje i skręty. Pod nim ku tyłowi spoczywa móżdżek. Pod móżdżkiem umieszczony jest rdzeń przedłużony będący przejściem rdzenia kręgowego w substancję mózgu. W mózgu widzimy dwie substancje. Jedna będąca na obwodzie jest popielatego koloru i zwie się substancją szarą, druga stanowiąca całą massę mózgowia, jest białego koloru, i dla tego substancją białą się nazywa. Na spodniej powierzchni mózgu znajduje się 12 par nerwów, bardzo ważną grających rolę. I tak najpierw nerw węchowy rozkrzewiając się w błonie nosa czyni to, że wszystkie lotne części materji, jakieś pachnidła i t. d. przechodząc z prądem powietrza przez kanał nosowy, drażnią we właściwy sposób ten nerw, a uczucie to przeniesione po nim do mózgu daje to, co uczuciem powonienia zowiemy. Dalej idą dwa nerwy wzrokowe skrzyżowane z sobą w ten sposób że gałązka prawej strony idzie do lewego oka, u lewej strony do prawego. Oko nasze ma kształt gałki. Ściany tej gałki uformowane z kilku błon, jakby woreczki jedna na drugą naciągniętych. Jedna z nich jest twarda i biała, druga posiada wielką ilość naczyń i dla tego zwie się *naczyniówką*, ostatnia zaś najbardziej wewnętrzna jest siateczką nerwową i dla tego *siatkówką* się zowie. Całe wnętrze oka wypełnione cieczą szklistą, podobną do białka kurzego. Na przodzie oka jakby szkiełko od zegarka, znajduje się przeźroczysta błona zwana rogówką, podj nią jest ciecz wodnista, a dalej widać krążek zabarwiony na czarno, niebiesko, zielonawo (od czego i kolor oczu powstaje) z małem czarnem kółkiem w środku. To kółko zwie się źrenicą, po za tą błoną a raczej kolorowym krążkiem zwanym tęczówką znajduje się twór podobny do ziarna soczewicy, zwany *soczewką*. Jest ona przeźroczystą, i konstytucji dość twardej, a służy do załamywania promieni światła, tak samo jak szkło okularów lub lunety. Skoro ta soczewka w skutek zmian chorobliwych ściemnieje, stanie się nieprzeźroczystą, mamy tak zwaną kataraktę, a okulista przeciąwszy gałkę oczną z boku, może ową soczewkę wydobyć i wzrok przywrócić. Otóż światło słoneczne, wchodząc do oka przez otworek tęczówki, przez źrenicę, działa na błonę nerwową siatkówką zwaną.

Ma ona dość ciekawą budowę, składa się bowiem z grubszych i cieńszych słupków i pręcików wydrążonych jakby rurki. Nerw wzrokowy przechodząc od tyłu do wnętrza gałki ocznej, rozdziela się kiściasto na wszystkie strony, i drobniutkie jego niteczki wchodzą wgłąb owych cienkich rureczek. Te to ostatnie rozgałęzienia są czułe na wpływ światła, i sprawiają, że widzimy dane przedmioty. Z mózgu wychodzą nerwy zaopatrujące mięśnie gałki ocznej, które kierują też gałkę, a raczej oko na wszystkie strony, wychodzą nerwy zaopatrujące twarz, język, gardziel, idzie ztamtąd nerw błędny regulujący ruchy serca i t. d.

Ze rdzenia kręgowego bieży także wiele sznurków nerwowych, dzielą się one na dwa systematy, nerwy czucia i nerwy ruchu, pierwsze powstają z tylnej części rdzenia, drugie (nerwy ruchu) z przedniej.

Nerwy czucia rozkrzewiając się w skórze, czynią, iż ten organ jest tak tkliwym na wszelakie wrażenia. Na końcu nosa, wargach, mamy najwięcej tych niteczek, ztąd te organa tak czułe, na końcach palców, znajdują się przyrządy zwane, *Ciałkami Paciniego*. One są umieszczone w skórze, stanowią zwój nitek nerwowych bardzo wrażliwy one te czynią subtelnym zmysł dotyku, który kształceniem można do wysokiej doprowadzić perfekcji. Nerwy ruchu rozkrzewiają się w mięśniach, i jakby druty z telegraficznego biura niosą wszędzie rozkazy, a każdy składnik motorycznego systematu ulega ich wpływowi, kurczy się, skraca, i porusza członki. W mózgu, który jest niejako głównym kierownikiem działań takich, znajdują się miejsca posiadające różnorakie swoiste własności. Sprawdzano to doświadczeniami. I tak półkula wielkie mózgu są siedliskiem świadomości. Skoro je nóż fizjologa wytnie, zwierzę lub ptak, pozostają jakby senne, żyć mogą, ale nie mają pojęcia o świecie otaczającym. Jest tam punkt kierujący ruchami serca, oddychaniem, jest miejsce, które skaleczone, powoduje olbrzymie wyrabianie się cukru w wątrobie, są inne, które są organami woli, są nareszcie i takie co wpływają na opóźnienie, zwolnienie lub nawet wstrzymanie chwilowe nerwowej działalności. Móżdżek znów służy do uporządkowania ruchów, czyni to że one są celowe, np. gołąb pozbawiony móżdżka będzie latał po pokoju, bił się o ściany, ale wszystko to idzie mu niesklładnie, niezręcznie, nie ma żadnego porządku w tych ruchach.

Ruchy wszelakie rozdzielamy na świadome i bezświadome, na ulegające woli i od niej nie zależne. Tak np. nie możemy ani przyspieszyć ani zwolnić ruchów serca, nie możemy kierować poruszeniami kiszek. Inne takie czynności czasami woli naszej nie ulegają. Całe ciało jest podzielone jakby na pojedyncze grupy, jakby na oddzielne ruchome systemata. Weźmy przykład. Jeżeli człowieka śpiącego podrażnimy piórkiem około ust, to najpierw usta drgną lekko, jeżeli pociągniemy raz jeszcze, cała twarz, lub jej połowa poruszą się, powtarzamy doświadczenie, i wnet ręka prawa lub lewa, wykona czynność, jakby dla odpędzenia natręta. Gdybyśmy zaś to piórko wsunęli w otwór nosowy, śpiący zerwie się od razu.

Cóż to znaczy. Oto pociągając piórkiem drażniłem nerwy czucia. Nerwy te w rdzeniu kręgowym, przedłużonym, a także w mózgu łączą się z nitkami nerwów ruchu, podrażnienie skóry poszło dalej, przebiegło po nitkach czuciowych, udzieliło się nitkom ruchu, i wnet skurczenie muskułów, owo drgnięcie wargi nastąpiło. Czem podrażnienie (łechtanie) było silniejszem, tem więcej nitek nerwowych brało udział, poruszyła się twarz cała, a nawet później ręka. Skoro zaś wsuwam piórko w otwór nosa, wrażenie nerwowe jest tak silne, iż całemu ciału na raz udziela się i człowiek zrywa się na równe nogi. Czyni zaś to zupełnie bezwiednie i mimo-

wolnie, boć przecie spał, i raptem się przebudził nie wiedząc przedtem o bożym świecie.

Czy np. który z danserów myśli o tem jak postawić nogę w mazurze lub walcu. Ucho daje mu wrażenia dźwięku, słyszy takt muzyki, i bezmyślnie, bezwiednie, sunie naokoło i nieraz rozmawia zupełnie o innych przedmiotach z tancerką, z uwagą słucha jakie tam słówko z jej ust wybiegnie, a nogi pracują swoim porządkiem, wybijają hołupca i t. p.

Kto biegle gra na fortepianie, lub skrzypcach nie myśli o tem jak palec uderza, lub smyczek strun dotyka. Wszakże nieraz myśl błądzi zupełnie gdzieindziej zwrócona, a ręka ujmuje akorda, i wtóruje myśli biegom. To są rzeczy każdemu wiadome.

Ruchy wszelakie kształcą się, wyrabiają przez wprawę. Cóż ponosi trudu uczeń lub pensjonarka na lekcjach tańców, ileż to gam przegrać potrzeba na fortepianie, ile czasu stracić, nim się pożądanej biegłości nabierze.

Adwokat wprawia się do obrony, mowca do publicznych oracji, żołnierz do ćwiczeń i mustry wojskowej, do władania bronią, krawiec do szycia, słowem wszystko nazywa się przyzwyczajeniem i długą pracą.

(C. d. n.)

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

Sztuki piękne na wystawie paryzkiej.

III.

(Ciąg dalszy).

Bacząc wszakże ze stanowiska czysto malarskiego, obrazowi Makarta pewnych zalet odmówić nie można. Kto w Belwederze widział jego *Romeo i Julję*, ten nigdyby nie przypuścił, że to ten sam pędzel malował *Wjazd Karola V. do Antwerpji*. Rysunek się wyszlachetnił, koloryt zaś tak się wykształcił, że już dzisiaj Makart śmiało czuć się może panem swej palety. Jakże to daleko ubiegł on od tego czasu, kiedy to malował gliniano-żółte twarze! W ugrupowaniu przebija wiele teatralnej biegłości. Orszak przesuwający się w profilu przed okiem widza, ma wiele w sobie życia i naturalnego ruchu, widać że on dąży naprzód, a nie stanął, aby pozować. Architektura jest wcale nie zła, akcesorja także, a owe pięć nagich dziewic cudownie są wdzięczne, o *galbie* nieskończenie eleganckim, o rysach prześlicznych. Jedno może, że typ ich za nadto jest monotonny, wyglądają jak gdyby rodzone siostry. Słowem obraz Makarta gdyby nie skandal, gdyby nie ta czysto pozioma i niemoralna podkładka jego faktury, nie byłby się doczekał takiego rozgłosu, w każdym jednak razie nie przepadłby bez wieści na wystawie i należałby niezawodnie do rzędu ozdób galerji austrjackiej.

Oprócz *Wjazdu Karola V.* wystawił Makart jeszcze dwa portrety piękności wiedeńskich. O genezie tych portretów, opowiadano mi następującą anekdotkę, charakteryzującą artystę. Po rozwieszeniu obrazów na parę dni przed otwarciem wystawy, komisarjat austrjacki doniósł Makartowi, że ściana, ofiarowana mu, nie została w całości pokryta *Karolem V.*, lecz po obu stronach tego dużego obrazu posiada wąskie a próżne miejsca, takich to a takich wymiarow, do zapełnienia tych miejsc Makart nie miał pod ręką nic gotowego a odpowiedniego rozmiarami, żeby jednak uniknąć bezpośredniego porównania z jakim innym artystą, bierze Makart dwa zaledwie naszkicowane portrety, pracuje nad niemi dzień i noc, wykończa je, posyła na wystawę i zachowuje całą ścianę dla siebie. Wszelako na portretach nie znać pospiechu. Są one bardzo elegancko, gładko i biegle wykonane i zaliczają się bez wątpienia do rzędu najlepszych portretów tak w dziale austrjackim jak i niemieckim.

A jednak bądź co bądź konkurentów w portretystyce wśród swoich rodaków Makart ma niemałych: Angeli i Canon w Wiedniu, Richter w Berlinie, Lenbach w Monachium, słynni są ze swych portretów, a szczególnie pierwszy uchodzi za najbardziej renomowanego portrecistę całej szkoły niemieckiej. Wystawił on 12 portretów, a między niemi portret lorda Beaconsfielda. Wszystkie są opracowane nader sumiennie, dokładnie, a przecież ani sztywnie ani wycackanie. Pozy nader eleganckie, pełne życia i artystycznego naturalizmu, pozbawione afektacji i pozowania. Czuć w nich nawet dużo podobieństwa moralnego, jednakże nietyle co w pierwszorzędnych portretach francuskich. I dla tego, gdybym miał do wyboru między Angelim i Bonatem, ostatniemu dałbym zawsze pierwszeństwo.

We wszystkich tedy dotąd rozebranych działach malarstwa, musieliśmy ciągle Francuzom przyznawać wyższość nad Niemcami. Ale teraz przechodzimy do działu, w którym Niemcy górują. Działem tym jest malarstwo *rodzajowe*, a królem jego jest Knaus z Berlina. Nie jest on wszakże szefem szkoły. Rodzajowi malarze w Niemczech rekrutują się ze wszystkich *ateliers*, bez względu nawet na to, czy szef pracowni pracuje sam w kierunku rodzajowym. Ktoby np. pomyślał, że najlepszy uczeń z pracowni Piloty'ego, Defregger, będzie właśnie rodzajowym malarzem i to do tego pierwszą po Knausie znakomitością w Niemczech. Już to przyznać trzeba, że Monachium, które wydaje najzdolniejszych malarzy ze wszystkich pięciu szkół niemieckich, (bo i Makart jest uczniem szkoły monachijskiej), wydaje także najwięcej i najlepszych *genre*'istów. W tych bawarskich Atenach skupia się cały legjon artystów kultywujących *genre* z upodobaniem i niepospolitą wprawą. Tacy Kurzbauer, Grützner, Leibl, Meisel, Ramberg, Seitz, uważany za niemieckiego Meissoniera, są to wszystko artyści, którymi Monachium, a za nim cała Germanja pochlubić się może.

Genre niemiecki odznacza się, jak już powiedzieliśmy, przedewszystkiem wewnętrzną moralną wartością. Overbec, Cornelius i Kaulbach nie odgadli właściwego nastroju Niemiec, kiedy usiłowali ich sztukę wprowadzić na tory wielkich zagadnień filozoficznych, religijnych i dziejowych. Niemiec lubi spekulację i chętnie się jej oddaje, ale w plastyce przedkłada nad nią swoją rodzinę, swoje otoczenie, współczesnych sobie ludzi i współczesne życie. Tutaj dopiero jest w swoim żywiole i tworzy dzieła, które wprost do serca przemawiają. Ale nietylko ciepłem i uczuciem celują rodzajowe obrazki Niemców. Przebija w nich także niepospolita doza zdolności spostrzegawczych, nieraz znakomita znajomość natury ludzkiej, nadto humor delikatny i dobroduszny, nieprzechodzący nigdy w złą satyrę ani w karykaturę, jak u Francuzów. Jednego brak tylko rodzajowemu malarstwu niemieckiemu, to jest techniki, i to zarówno rysunku jak i kolorytu, ale kolorytu szczególnie. Goniąc za niedoścignionemi zadaniami metafizyki i historjozofji przez tyle lat, zaniechali oni kształcić się w tym kierunku, a chociaż dzisiaj biorą się z zapałem do sumiennych studjów nad rysunkiem i kolorystyką, z tem wszystkiem daleko im jeszcze do dorównania Francuzom. Koloryt wybladły lub znowu fałszywie intenzywny, nieraz wprost plamisty, oświetlenie najczęściej rozprószone i nienaturalne, oto wybitne wady większej części rodzajowych ich obrazków. Dla tego też lepiej one nieraz wydają się w odbiciach drzeworytniczych lub litograficznych niż w naturze.

Knaus przedstawił pięć obrazów, dwa z życia żydów, pełne prawdy i humoru; jeden pogrzeb na wsi, scena smutna, z wielkiem uczuciem i ciepłem oddana; wyborna narada włościan z pokątnym pisarzem i wreszcie zabawa dzieci, scena pełna życia i ruchu. Defregger wystawił cztery obrazki, dwa w dziale austrjackim a dwa w niemieckim, z tych *Benedicite* i gra na cytrze są prześliczne. Kurzbauer nadesłał znanych swych „zbiegów,“ Grützner i Meisel opracowali z niepospolitym humorem, lubo każdy w innym rodzaju, ulubione ich tematy z życia Kapucynów. Seitz dał wyborny epizod ze zjawienia się fotografa na wsi, wśród poczciwych bawarskich wieśniaków, którzy się fotografują z takim namaszczeniem i przejęciem się, jak gdyby niewiedzieć szło o co. Leibl pokazał jak Bawarzy czytają gazety. Ale dość tego, nie doszlibyśmy do końca, gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkich rodzajowych malarzy niemieckich. Przecież z najznakomitszych utworzyliśmy już cały legjon nazwisk.

Jak monachijska szkoła cechuje rodzajowem malarstwem, tak düsseldorfska pejzażem. Na czele jej stoją dwaj bracia Achenbach i Dücker. Chcąc scharektyryzować pejzaż niemiecki, musielibyśmy niemal słowo w słowo powtórzyć to, cośmy powiedzieli o niemieckiem rodzajowem malarstwie. To samo ciepło i uczucie, tym razem już nie do ludzi ale do przyrody i zwierząt zastosowane, ta sama prostota i dobroduszność, umiejąca wyzyskać i życiem oblać najpośledniejsze temata, i ten sam brak techniki. Jednakże brzegi Skaldy pod Antwerpją i Vlissingen Andrzeja Achenbacha uważane były przez znawców za najlepsze pejzaże z całej wystawy.

Skończyliśmy już z szkołą niemiecką, a nie wspomnieliśmy dotąd o dwóch pierwszorzędnych jej gwiazdach, o Pilotym, który dowiódł świeżo, że nietylko znakomitym malarzem, ale i wybornym denuncjantem być umie; i o Menzlu, którym tak zachwyca się Berlin. Dla czegóż, zapyta czytelnik i gotów nas posądzić o jaką stronniczość. Dla tego, odpowiemy, że Piloty, zajęty może denuncjatorstwem, wygotował na wystawę jeden tylko niewielki obraz ulubionego swego tematu (scena z życia Wallensteina) a nader słaby. Menzel zaś dał nam bardzo złe wyobrażenie o wykształceniu estetycznem Berlinczyków. Jeżeli to ich Makart, to wiedeński o całe niebo jest wyższy. Wśród kilku olejnych obrazów i akwarelli nadesłał on jako *pièce de résistance* płótno duże, przedstawiające jeden z warstatów fabryki Börsiga odlewów i maszyn żelaznych. Scena odgrywa się w nocy, oświetlenia dostarcza olbrzymia bryła rozpalonego do białości żelaza, całość sprawia wrażenie kuźni cyklopów, a efekt wywiera taki, jak kolorowane illustracje w książeczkach dla pilnych dzieci.

Jeżeli jednak można było śmiało zamilczeć o Pilotym i Menzlu, to natomiast nie godzi się nie wspomnieć o zawcześnie zgasłym dla sztuki, a pełnym talentu i nader sympatycznym czeskim malarzu, Czermaku. Wprawdzie w artykule, w którym mowa o szkole niemieckiej, nie miejsce dla Czermaka, który niczem Niemców nie przypomina,

a urodzony w Pradze, w epoce budzenia się narodowego ducha u Czechów, wykarmiony ideami słowiańskiemi, studja malarskie odbywał w szkole Gaillait'a w Brukselli. Przeto ani tematami swych obrazów, ani też techniką nie ma nic z Niemcami wspólnego. Jednakże ponieważ szkoły czeskiej w malarstwie nie ma, więc naprawdę nie mielibyśmy sposobności mówić o Czermaku. Korzystamy tedy z tego, że w dziale austrjackim znajdowały się dwa jego obrazy, jeden nadesłany przez biskupa Strossmayera, a drugi, jeżeli się nie mylimy, przez ks. Jerzego Czartoryskiego, szwagra malarza, i tych parę słów poświęcamy jego pamięci. Oba jego obrazy, o temacie rodzajowo-historycznym, illustrują epizody z ostatniego powstania Hercogowiny. W jednym przedstawia malarz powrót do domu rodziny Hercegowińskiej w parę dni po przejściu przez wieś wojsk tureckich. Do koła zgliszcza, na polach ponabijane głowy powstańców, ciemne tło nieba, oto pejzaż, którego stafażem jest rodzina wracających do domu Hercegowińców, złożona z starca, niewiast i wyrostków. Drugi obraz o wiele lepszy i jeżeli się nie mylimy, najlepszy z obrazów Czermaka, przedstawia rannego Czarnogórca, którego z pola walki unoszą junacy, a kobiety po drodze hołd składają obrońcy ojczyzny. Ekspresja niepospolita, znakomita charakterystyka twarzy tych dzielnych bohaterów, wdzięk w układzie postaci niewieścich, pełnych męstwa, a jednak nie wykraczających po za sferę uczuć kobiecych, nie pozujących wcale na dzikie amazonki, faktura skromna, a mimo to pełna uroczystości i powagi, nakazującej patrzeć na ten obraz jako na coś świętego, a nie jako na jakąś *pièce à sensation;* oto są zalety, gwoli których to drugie płótno Czermaka zaliczano w poczet najlepszych obrazów wystawy. Czechja ze śmiercią Czermaka wielką poniosła stratę, tem większą zwłaszcza, że zastęp jej malarzy jest bardzo skromny i pod względem liczby i zdolności. Z żyjących, jeden tylko Wacław Brozik, wyróżnia się i obiecuje bardzo wiele. Jego obraz w salonie, a nie na wystawie, *Posłowie czescy na dworze Karola VII*, podobał się powszechnie. Dziwna rzecz, Brozik jest uczniem Piloty'ego, a jednak w jego obrazie czuć Matejkowskie tchnienie.

KTO WINIEN?

(z *V. Hugo*).

— Spaliłeś bibljotekę!
— Tak jest, w słusznym gniewie,
Własną ręką cisnąłem w te gmachy zarzewie.
— Przeciw sobie samemu niesłychaną zbrodnię
Spełniłeś niegodziwcze — swą własną pochodnię,
Zgasiłeś, swego ducha przeciąłeś promienie.
Co twe wściekłe zniweczyć śmiało uniesienie,
Twojem dobrem, dziedzictwem, twoim skarbem było.
Nienawistna dla możnych — książka jest twą siłą.
Książka broniła ciebie, tak jak ten świat stary;
Bibljoteka jest wielkim, świętym aktem wiary
Pokoleń zostających w zamglonej pomroce,
Co świadectwo o zorzy dają w ciemne noce.
Jakto? na ten szacowny zbiór praw wiekuistych,
Na arcydzieła pełne błyskawic ognistych,
Iskier bożych — na groby, przeszłych czasów ścieki,
Na olbrzymów zamierzchłej historji, na wieki,
Na upłynione dzieje, te przyszłości słońca,
Na to co się zaczęło by istnieć bez końca,
Na poetów! na Jobów, Eschylów, co swemi
Proroctwy oświecają widnokrąg tej ziemi,
Na niespożyte stosy wspaniałych Homerów,
Na potęgę rozumu — na Kantów, Wolterów,
Rzucasz zbrodniarzu głownię, co płomieniem bucha,
I z dymem puszczasz blaski człowieczego ducha?
Jakżeś ty mógł zapomnieć, że z ciężkiej niewoli
Jedna cię tylko księga, nędzniku, wyzwoli!
Ona świeci. Z nią w ręku, jej potęgą zbrojny,
Ty zdepczesz głód, pożogi, szafoty i wojny.
Ona woła: ja nie znam co kajdany! Parja!
Otwórz księgę: przeczytaj Miltona, Beccaria,
Tassa, Szekspira, Danta; a wnet się obudzi
W twoich piersiach olbrzymia dusza tamtych ludzi.
I poczujesz się takim, jakimi są oni.
Czytaj ich, a zaduma czoło twe osłoni,
Poczujesz w sobie ludzi tych rosnących w góry,
Oświecą ci twój umysł, jak jutrzenka mury;
Im bardziej się zatapia w nich twa własna dusza,
Tem więcej Cię ich wielkość uspakaja, wzrusza,
Zda ci się że w nich czytasz twoje własne dzieje,
Czujesz się dobrym, lepszym... i wszystko topnieje
Jak śnieg od blasków słońca, twa wściekłość, kajdany,
Duma, zawiść, przesądy, królowie, tyrany...
Gdyż wiedza przedewszystkiem — za nią wolność idzie.
To światło było twoje! a teraz — o wstydzie!
Ty sam je zagasiłeś, sam, własnem ramieniem.
Wszystkie cele, o których marzysz z uniesieniem,
Księgi już osiągnęły. Duch ich w ciebie wpływa,
Rozdziela prawd i błędów splątane ogniwa,
Bo wierzaj, że gordyjskim węzłem jest sumienie.
Książka, to twój przewodnik, lekarz, ostrzeżenie,
Ona leczy nienawiść, szały, ich przyczyny,
Widzisz więc coś utracił z własnej twojej winy?
Księga, to skarby twoje — to mądrości, prawa,
Obowiązki i cnoty, wolność, postęp, sława,
Myśli co na twą korzyść zaczynają świtać...
I tyś to wszystko zniszczył?
— Ja nie umiem czytać.

M. Rodoć.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Gdyśmy się zbliżali do wzgórzy, poświęcenie moje jeszcze większej zaczęło nabierać wagi, bo widok przed nami był doprawdy przepyszny. Powietrze było dziwnie czyste; pomiędzy dwoma nadbrzeżnemi miastami widziałem wielką metropolję; po za tem milczący gród Green-wood'u, cieśniny i zatokę, dwa srebrne węże rzek wijące się między mną a palisadami, dalej ku południowi Broklyn'u, lśnił się wielki ocean. Dziwna gra świateł i cieni, malownicze, ściemione dalą kształty porozrzucanych i skupionych gmachów, szare fabryki pozamieniane w kryształowe pałace, blaskiem słońca co bił o ich szyby i wielkie okręty wydające się zabawkami z pudełek dziecinnych, kołysane leniwie na fali, bez oznaki życia i ruchu na nich to wszystko przypominało mi dziwnie czytane w dzieciństwie powieści o zaklętych miastach, i zaczarowanych wodach. Do złudzenia przyczyniał się jeszcze gmach Nowej Poczty w Nowym Yorku, którego dach, dziwnie kształt smoka przypominający, leżał w pośród wszystkiego, zdając się drzemać na straży.

— Wujciu Harry!

— Aha, czekałem tylko na to.

— Wujciu Harry!

— Co tam Edwardku?

— Mnie się zawsze zdaje, że tu wygląda jak w niebie.

— Gdzie Edwardku?

— A tutaj, to wszystko co widzimy; ztąd aż tam, tam daleko do tej sinej wody, to jakby w niebie. I zawsze sobie myślę, że tam — tu wskazał rączką na lśniący dach zakładu fotograficznego — tam gdzie się tak ślicznie świeci i błyszczy, to Bozia siedzi na tronie.

— Dla Boga, dziecię! jakże główka twoja polotem myśli bogata! A ja byłem dumny przed chwilą żem miejsce to do ziemskiej krainy czarów przyrównał!

— A tam dalej, gdzie ta *bardzo* śliczna, *malutka* plamka złota, to mieszka drogi braciszek Frank; ile razy tam popatrzę, to zdaje mi się, że rączką na mnie kiwa.

— Malutki braciszek poszedł spać do pudełka, a Bozia go zabrał do nieba — zamruczał Charley, łącząc wszystkie swoje wyobrażenia o śmierci. Potem podniósł głos i zawołał:

— Wujciu Harry, wiesz co ja zrobię, gdy będę taki duży jak tata? Oto będę miał śliczne konie, i karetę i będę jechał daleko, daleko, po nad drzewami, nad domkami i nad całym światem i nad wszystkiem! I dużo małych ptaszków będzie przylatywać do mojej karety, będą mi ciągle spiewały, a ty także możesz przyjść jak zechcesz, i będziemy mieli lody, i karmelki i poziomki; i będziemy patrzeć jak się małe rybki w wodzie gonią, i kupimy wielki, wielki dom, cały śliczny i z wierzchu i ze środka, a cały będzie z orzechów w miodzie maczanych; i to wszystko będzie nasze, i będziemy tam mieszkać, i zawsze robić tylko to co nam się zechce.

— Jesteś idealistą Charley'u.

— Nie jestem delistą.

— Charley jest głuptaskiem — zauważył Edwardek poważnie. — Wujciu Harry, czy myślisz, że w niebie doprawdy tak ładnie jak tutaj?

— Tak Edwardku; i jeszcze daleko ładniej.

— No to czegoż my zaraz prosto nie umieramy, i nie idziemy do nieba? Mnie się już przykrzy tak ciągle żyć i żyć. Czego my zaraz nie umieramy, wujciu? tyleśmy już dni żyli na świecie.

— Dlatego, że Bozia chce żebyśmy się pierwej nauczyli być grzeczni i dobrzy, bo w takiem ładnem niebie nie wolno być niegrzecznym. Trzeba przed śmiercią dużo dobrego zrobić, mój maleńki.

— Ale ja chcę widzieć braciszka Franka; on się zawsze tak ślicznie śmiał do mnie. Wujciu Harry, czy myślisz, że aniołki mają skrzydła?

— Ludzie myślą, że mają.

— A ja *wiem*, że nie. Bo gdyby Frank miał skrzydełka, toby już dawno do mnie przyleciał. Więc chyba nie mają.

— Może go Bozia gdzieindziej posyła, a może on przylatuje a ty go nie widzisz, Edwardku. Wiesz, że nie możemy widzieć aniołów *naszemi* oczyma.

— A dzieci hebrajskie widziały anioła w ognistym piecu? przecież ich oczy nie były inne jak nasze. Ale mniejsza tam o to, tylko strasznie chce mi się widzieć braciszka Franka. Wiesz wujciu, cobym ja najpierw zrobił gdybym poszedł do nieba?

— Nie, nie wiem, Edwardku.

— Jakbym się przywitał z Frankiem, poszedłbym prosto do Bozi, i uściskałbym go ogromnie.

— A za cóż to, Edwardku?

— O za to, że nam daje tyle przyjemności, i że mi dał mamę i tatę i Franka, ale prawda, że jego zabrał sobie napowrót, i Charley'a, chociaż z Charley'a strasznie niegrzeczny chłopczyk czasami.

— Oj, wielka prawda Edwardku — rzekłem wspomniawszy sobie mój kuferek, i cel właściwy przejażdżki.

— Wujciu Harry, czyś widział kiedy Bozię?

— Nie, Edwardku; czułem go nieraz przy sobie, alem go nigdy nie oglądał.

— No a ja widziałem; widzę go ile razy popatrzę się w niebo, a nikogo przy mnie nie ma.

Woźnica się przeżegnał, i szepnął: Tfu, uroki kto rzucił, czy to już takie święte choć takie małe, czy co? Doprawdy było to zadziwiające; twarzyczka Edwarda przybierała prawie nadziemski wyraz, w miarę jak w dziecięcym szczebiocie rozwijał swe poglądy i wyobrażenia o przyszłem życiu.

Charley tymczasem, sam sobie bajkę gadał, tonem ledwie dosłyszalnym; ale gdy podchwyciłem parę jego oryginalnych i zabawnych wyrażeń, wziąłem go na kolana, żeby go rozumieć wyraźniej. Jednak to wszystko nie wybiło mi z głowy głównego celu mojej wyprawy. Znalazłem wkrótce ślusarza, i zostawiwszy mu zamek, obstalowałem klucz do niego. Potem pojechaliśmy przypatrzeć się wodospadom. Chłopcy zadawali mi tysiące pytań, a to, że śród huku i szumu wody nie mogłem ich słyszeć, nie przeszkadzało im zgoła. Poszedłem na chwilę do oberży po cygara, i dzieci wziąłem naturalnie ze sobą; lecz ledwiem się odwrócił dla zapalenia cygara, i rozpytania się o wodospadzie, malców już przy mnie nie było. Oglądam się z przerażeniem i widzę w oddaleniu coś jakby dwa żółte grzyby na murawie; poznałem w nich kapelusze moich siostrzeńców, i spostrzegłem, że obaj chłopcy leżeli zawieszeni nad samą przepaścią. Bałem się krzyknąć, żeby ich nagle nie przestraszyć; bez szelestu, więc prawie, modląc się i złoszcząc na przemian, zbliżałem się do nich na palcach; rzuciłem się wreszcie na ziemię i chwyciłem za nogę każdego z dzieciaków.

— Oh, wujciu Harry! — wrzasnął mi tryumfująco w samo ucho Edwardek, gdym go przyciskał do siebie, i trząsł nim z gniewu zarazem.— Wujciu, ja się wychyliłem daleko więcej niż Charley!

— Ale i ja się także dużo nachyliłem — rzekł Charley ku swojej obronie.

Poobiedzie dnia tego przeznaczyłem na zrobienie bukietu dla Miss Mayton i znalazłem to zatrudnienie nadzwyczaj przyjemnem. Nie był to bukiet ogrodnika, w którym wolno zestawić tylko dobrane kolorem i gatunkiem kwiaty, przytwierdzone na drucikach i ułożone w geometryczne desenie. Ja, użyłem do mego dużo rozmaitych, rzadszych kwiatów, zbyt skromnego i nieśmiałego pozoru, aby mogły w sztucznych bukietach prawo obywatelstwa otrzymać. Cieni barw było w nim niemal tyle co kielichów, a słodkie wonie unoszące się nad nim, obdzieliłyby dziesięć miastowych bukietów. Układanie kwiatów było zawsze jedną z moich najmilszych rozrywek, ale nigdy jeszcze nie widziałem w niej tyle powabu co dnia tego. Nie żebym miał być, broń Boże, zakochanym w Alicji; można przecież z całej duszy podziwiać i wielbić piękną i świetną kobietę, nie będąc w niej zaraz zakochanym. Można czuć rozkosz w myśli zrobienia jej przyjemności, nie żądając, żeby ona siebie w zamian oddawać miała. Co do mnie, uśmiechałem się zawsze sarkastycznie z mniemanej szczodrobliwości zakochanych; zawsze mi się zdawało, że raczej zbyt wysokiej żądają ceny za to, co ofiarować mogą. Ja nie miałem tego uczucia względem Miss Mayton. Byli niegdyś poganie, którzy nieśli ofiary boginiom, jedynie z czci i uwielbienia, bez żadnej arrière pensée zrobienia za to bogini dożywotnią swoją przyjaciółką. Otóż każda oznaka hołdu, którą oddawałem Miss Mayton, zbliżała mnie jakąś do tych pogan sympatją. W miarę jak bukiet mój coraz nowym ozdabiał się wdziękiem, rosła też we mnie radość na myśl, jaką jej zrobi przyjemność to dzieło mego wytwornego gustu.

Nareszcie dokonałem miłej pracy! Ale wtem, radość moją zaćmiła straszliwa myśl, co ludzie powiedzą? Gdybyśmy byli w Nowym-Yorku zamiast w Hillkrest, nikt w świecie, oprócz ogrodnika, jego posłańca, mnie i samej pani, nie wiedziałby, że posłałem bukiet pannie Mayton; ale tu, gdzie było parę tysięcy plotkarzy i plotkarek z urzędu, i gdzie każdy z mieszkańców uważałby za brak miłości chrześciańskiej, gdyby cokolwiek z interesów u sąsiadów pozostało dla niego tajemnem, tutaj bałem się ludzkich języków. Mogłem wprawdzie spuścić się na dyskrecję Filipa, woźnicy, ależ kto żył, wiedział u kogo Filip był w służbie; kto żył, dziwne, tajemnicze, misterne są środki porozumienia się w małych miasteczkach, wiedział, że ja byłem obecnie jedynym gentlemanem w domu Lawrenceów... Ach! otóż mam dobrą myśl. Widziałem w jednej z szuflad bibljotecznych, pudło tekturowe, które powinnoby być dostatecznej wielkości. Wyszukałem je coprędzej, moją kartę wizytową kładę na sam spód, bo nie ma niebezpieczeństwa, żeby która z pań nie znalazła biletu towarzyszącego przesłaniu kwiatów, i wychodzę na wyszukanie Filipa. Kiwał głową z porozumieniem, gdy mu tłumaczyłem o co mi chodzi, i nareszcie zawołał:

— Nie bójcie się paniczku! zdajcie się ino na mnie, a pójdzie jak po maśle. Mój kum jest kucharzem u pani Clarkson, więc mnie znają, że chodzę do niego. Nikt kwiatów nie zobaczy, chyba anioły, a one plotek nie zrobią.

— Dobrze, dobrze, Filipie; oto masz dolara za drogę; znajdziesz pudełko w sali na kominku.

W pół godziny później, gdym czytał w oknie otwartem, ujrzałem Filipa, jak wygolony, wyczesany, wyświeżony, szedł ścieżką pod górę z mojem pudłem w jednej z olbrzymich łap swoich. Do kolacji zeszedłem z głową napełnioną przyjemnemi marzeniami. Moi mali przyjaciele byli w niezwykle miłem usposobieniu; zdaje się, że przejażdżka podniosła ich wrażliwe duszyczki, bo choć jedli ogromnie, a mówili mało, każde ich słówko było dowcipne, zabawne lub zadziwiające głębokością; tak dalece, że gdy po kolacji zażądali, abym im towarzyszył do pokoju, gdzie się spać kłaść mieli, chętnie na to przystałem.

Charley podział się gdzieś na chwilę, a potem wrócił strasznie zafrasowany.

— Nie mogę znaleść kołyski mojej laluni, uskarżał się płaczliwie.

— Mniejsza o to pieszczochu — rzekłem, pocieszając go; — wujcio huśta cię na kolanie.

— Ale ja chcę kołyski mojej laluni — piszczał żałośliwie, wywracając już dolną wargę.

Przyszły mi na myśl kółka, które Karolek chciał widzieć i zadrżałem.

— Charley'u — rzekłem głosem tak przekonywającym, że jako komisantowi kupieckiemu znaczyłby mi on parę tysięcy rocznego dochodu, gdybym go tylko miał w każdej chwili na zawołanie, względem odwiedzających magazyn; Charley'u, czy nie chcesz pójść na barana do wujcia?

— Nie; chcę kołyski mojej laluni.

— Czy nie chcesz żeby ci wujcio opowiedział historyjkę?

Na chwilę twarzyczka Charley'a wyrażała nierozstrzygniętą walkę między starym Adamem a matką Ewą, ale nareszcie ciekawość przemogła wrodzony upór i bąknął: — Chcę.

— Cóż mam ci opowiedzieć?

— O arkanogo.

— O czem?

— On chce powiedzieć arka Noego! — zawołał Edwardek.

— To też tak mówię, arkanogo — oświadczył Charley.

Odświeżyłem sobie pamięć zajrzeniem do Biblji, leżącej właśnie na stole, Helenka bowiem jak wiele osób, zwykle zapominała zabrać z sobą Biblję, gdy się na dni kilka z domu wybiera. Więc raz—rzekłem—była ulewa przez czterdzieści dni i nocy, i wszyscy się potopili na ziemi, tylko jeden Noe, człowiek cnotliwy, ocalił się z rodziną swoją, w arce, którą mu pan kazał wybudować.

— Wujciu Harry — odezwał się Edwardek przypatrując się na mnie co najmniej przez pięć minut z roztwartemi oczyma i buzią—czy myślisz, że to historja Noego?

— Tak jest, Edwardku; cała, tak jak stoi w Biblji.

— No a ja myślę, że to ani podobne do Noego — rzekł z wzrastającą nadętością.

— Zaczynam przychodzić do przekonania, że czytaliśmy odmienne wydania Biblji; ale dajże ty mi poznać twoję wersję.

— Co takiego wujciu?

— Ty mi opowiedz historję Noego, jeżeli ją tak dobrze umiesz?

— I owszem; posłuchaj, jak to było: Onego czasu Bozia tak się gniewał na ludzi za to, że byli niegrzeczni, że aż zaczął żałować, że stworzył świat i ludzi i wszystko! Ale Noe nie był zły, i Bozia kochał go za to, i powiedział mu, żeby zbudował wielką arkę, bo Bozia chce, żeby była przez czterdzieści dni i nocy taka ulewa, żeby się potopili wszyscy na ziemi. Ale Noe miał wleść do arki i zabrać swoich chłopaków i dziewczynki, i pieski i kicie i koniki i krówki z ich synkami i córeczkami, i ptaszki i myszki i wszystko. I Noe zabrał z sobą dużo jedzenia do arki, ciastka i mleczko i mąkę i poziomki i śliwki, i jeszcze — o tak! i plumpunding i kiszkę! — Ale Noe nie chciał żeby wszyscy utonęli, więc mówił ludziom, że niezadługo deszcz zacznie padać okropnie, bądźcie lepiej grzeczni, to Bozia pozwoli wam wleść do mojej arki". A oni naumyślnie powiedzieli: „A niech tam sobie; my się pochowamy do domów póki nie przestanie"; a inni mówili: „My się nie boimy deszczu, kupiliśmy parasole". A jeszcze inni gadali, że nie ma się co bać paru kropel wody. Ale jak przyszła ulewa, to ludzie chowali się do domów, a woda za nimi; wyłazili na schody, a woda za nimi; włazili na dachy i na drzewa i na góry, a woda wszędzie za nimi, aż wszystkich potopiła! Tylko Noe i ci co z nim byli w arce nie zmokli *ani okruszynki*; a potem wyszli gdy się wypogodziło. I chłopczyki i córeczki Noego chodzili gdzie tylko chcieli, bo cały świat był ich; i nie było nikogo coby im mówił, żeby szli do domu, ani nie było ogródków Fröblowskich, do którychby musieli chodzić do szkoły, ani złych chłopców, którzyby ich bili na ulicy; ani nic. Teraz gadaj nam co innego wujciu.

Nie miałem już ochoty zapuszczać się w historję świętą po takiem dwukrotnem doświadczeniu; spytałem więc Edwardka czy wie co to wojna?

— O tak; Tata był tam, i przyniósł z wojny duży pałasz. Czy widzisz go? ot tam wisi na ścianie. — Tak, ujrzałem go; i tak dalece zajęła mnie różnica między krwawem polem, w którem

mi pałasz Toma błyskał po raz ostatni, a zacisznym pokoikiem, w którym teraz wisiał nad jego łożem, że dopiero głos Edwardka zbudził mnie z zamyślenia.

— A co, nie będziesz nam nic gadał, wujciu?

— O zaraz Edziu. Raz, gdy była wojna, szło dużo żołnierzy drogą, i byli okropnie głodni, bo jeszcze tego dnia nic nie jedli.

— A czego nie wstępowali do domów, i nie mówili ludziom, że są głodni? Gdybym ja szedł drogą i był głodny, tobym zawsze tak robił.

— Nie mogli; bo ludzie tego kraju ich nie lubili; bracia i ojcowie tych ludzi byli także na wojnie, ale nie lubili tych żołnierzy, którzy szli drogą i chcieli ich pozabijać.

— Musieli być strasznie źli — zawyrokował Edwardek.

— No, ci pierwsi żołnierze chcieli tych znowu zabić.

— To więc, wszyscy byli okrutnie źli, kiedy chcieli jedni drugich zabijać.

— O nie! było wielu bardzo dobrych ludzi w obu wojskach.

Biedny Edwardek był smutnie zdumiony; i w istocie miał czego, bo najszlachetniejsi i najmędrsi ludzie nie mogą zrozumieć uczucia zawziętości dwóch wojsk względem siebie.

— Otóż tedy — mówiłem dalej — żołnierze obu stron byli konno, i gdy się zjechali naprzeciwko siebie, zacięli konie, i lecieli z wyciągniętemi szablami, i już, już mieli uderzyć; trąbki grały, konie parskały, gdy wtem jakiś mały chłopczyna, który właśnie wtenczas wyszedł do lasu na jagody dla matki, chciał na poprzek przebiedz drogę między niemi, zaczepił o jakiś korzeń, upadł jak długi i zaczął płakać; a nie był większy od ciebie Edwardku. Już miały go konie roztratować, gdy naraz ktoś zawołał: „Stać!“ i cały szereg zatrzymał się po jednej stronie; z drugiej zrobiono to samo, i oficer co pierwszy wołał: „stać“, zeskoczył z konia, podniósł tego chłopczyka, pocieszał go i uspokajał; potem przyszedł także jakiś żołnierz od drugiej strony przypatrzeć się chłopczykowi, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden; aż gdy nareszcie, chłopczyk odszedł uspokojony, oba wojska rozjechały się każde w inną stronę, nie mając już serca do bitwy w tej chwili.

— O, wujciu Harry! ten żołnierz co podniósł chłopczyka musiał być strasznie dobry!

— Doprawdy, Edwardku? a wieszże kto to był taki?

— Nie wiem.

— To twój własny tato.

— O-o-o-o! — Gdybyż Tom mógł był widzieć wyraz twarzy swojego syna w chwili, gdy przedłużał ten wykrzyknik! Zdawał się on pojmować rzecz tę w całej jej doniosłości, a duże oczy jego stawały się coraz głębsze, w miarę jak przybierały ten wyraz marzący, tak dziwny w drobnem dziecięciu.

Ale Charley — ten pieszczoch, w którym czuła matka upatrywała poczucie piękna—Charley przez cały czas mojego opowiadania wyglądał w jakimś czysto swoim pomyśle, i ledwo przebrzmiał wykrzyknik brata, on począł rzecz swoją, bardzo poważnie, podniesionym głosem:

— Kiedym ja był żołnierzem, miałem mundur, i kapelusz, i zarękawek, i szalik koło szyi żeby mi było ciepło, a był grad i grzmot i wiatr, i strasznie mi było, więc połknąłem dużą szablę, i przebiłem się nią na śmierć, i pogrzebałem się pod ziemię.

— A jakżeż się tu dostał? — spytałem zaciekawiony zakończeniem.

— O, wstałem i przyszedłem tu prosto! I chcę mieć kołyskę mojej laluni.

Ach mały smoku uparty! gdybyś tę wytrwałość zachował przez całe życie, jakżeż by ważne mogła ci oddać usługi!

— Wujciu Harry, chciałbym żeby tato zaraz powrócił.

— Dla czego Edwardku?

— Chciałbym go popieścić za to, że był taki dobry dla tego chłopczyka na wojnie.

— Wujciu Harry, ja chcę kołyski mojej laluni, bo w kołysce jest moja lalunia, a ja ją chcę zobaczyć.

— Wujciu Harry, prawda że Bozia musi strasznie kochać mojego tatę za to, że był taki grzeczny na wojnie?

— Z pewnością, mój drogi — z pewnością.

— Bozia bardzo kocha mojego tatę, i ja za to bardzo kocham Bozię, zauważył Charley— i chcę mieć kołyskę mojej laluni i moją lalunię.

— Nie wiem gdzie jedno i drugie Charley'u; ale *zechciej* poczekać do jutra, a wujciu ci poszuka.

— Nie wiem, jak się tam Bozia może w niebie bez mojego taty obchodzić — rzekł Edwardek.

— Bozia weźmie tatę do nieba, i Edzia, i mnie, i będziemy chodzić po chmurach, będziemy się patrzeć na Bozię, będziemy się bawić skrzydełkami aniołków, i będzie zawsze pogoda, i nie trzeba będzie nigdy iść spać, nigdy, nigdy!

Drogie, czyste serduszka maluczkich! jakże wielką naiwna ich wiara, jak małe ich winy w porównaniu ze starszych osób wadami, które tak często znosić musimy! jakże podniośle kochają.

Lekkie pukanie do drzwi, przerwało moje rozmysły; „Wejść“—zawołałem.

Na próg wszedł Filip, i z miną jak najbardziej tajemniczą, podał mi list jakiś, i to samo identyczne pudełko, w którem posłałem kwiaty Miss Mayton. Co to mogło znaczyć? Pospiesznie rozerwałem kopertę, a w tej samej chwili, Charley wykrzyknął:

— Oh! jest kołyska mojej laluni! jest! jest! — porwał pudełko, otworzył — i wyciągnął swą lalkę!

Serce omdlało we mnie — a nie wrócił mu siły pachnący różowy bilecik, na którym te słowa skreślone były.

„Miss Mayton ma zaszczyt zwrócić niniej-
„szem panu Burton przesyłkę, którą właśnie wraz
„z jego kartą wizytową otrzymała. Uznała jej
„zawartość za niemylną własność jednego z sio-
„strzeńców pana Burton, lecz nie umie sobie wy-
„tłómaczyć sobie dla czego spotkał ją ten po-
„darunek.

„Hillcrest, 20 czerwca, 1875.“

— Charley! — wrzasnąłem gdy mój młodszy siostrzeniec, tulił swoją obrzydłą mazepę i szeptał jej najczulsze pieszczoty—,,zkąd wziąłeś to pudło?“

— Z kominka — odpowiedział; nieustraszony dzieciak, „zawsze je chowam do szuflady od książek, a ktoś mi je wyjął i włożył w nie brzydkie stare kwiaty.“

— Gdzieś podział te kwiaty?

Charley spojrzał w górę z nietajonym podziwem, że ktoś go mógł o to pytać, ale odpowiedział pospiesznie:

— Wyrzuciłem je przez mur, nie potrzebuję żadnych brzydkich kwiatów w kołysce mojej laluni. O! patrz, jak ona chodzi ślicznie.—I ten straszny mały burzyciel ludzkich nadziei, prowadził tam i nazad na sznurku zastępczynię mojego bukietu, szepcząc jej coraz tkliwsze wyrazy, z najzupełniejszą nieświadomością zbrodni, jakiej był sprawcą.

Gdy powiem, żem się na niego patrzał z naganą wyrażę moje uczucia w sposób najbardziej niedostateczny, ale bo też dla wyrażenia ich Charley'owi nie mogłem znaleść sposobu! W przeciągu paru krótkich miesięcy od poznania Miss Mayton przekonałem się, jak bardzo mi zależało na jej życzliwości, a nawet musiałem przyznać sam przed sobą, że obecnie pragnąłem już całkiem innej życzliwości, niż ta, którą pierwotnie miałem, nadzieję uzyskać. Zdawało się zbyt śmiesznem abym ja, który od lat tylu mając na tuziny znajomości z uroczemi kobietami, zachowałem zawsze zdrowy rozsądek i panowanie nad sobą; ja, który zajęcie się głębsze jakąkolwiek kobietą, uważałem za rzecz niedorzeczną ze strony mężczyzny, dopókiby nie miał przynajmniej pięciotysięcznego dochodu; ja który tyle razy dowodziłem wymownie, że przywiązanie się na całe życie bez poprzedniego zbadania najdokładniej charakteru i usposobienia strony będącej celem zabiegów, było najzuchwalszem szaleństwem — ja sam, przekroczyłem już każdą ze swych własnych zasad! i jeszcze, jakby dla wyszydzenia mnie za mniemaną mądrość i ostrożność, o słabości mojej przekonał mnie trzyletni smarkacz, i obrzydliwa lalka z gałganów!

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Dopełnienia Historji prawodawstw słowiańskich nakładem zapisu ś. p. Michała Konarskiego opracowane i w kilku artykułach osobne dzieła stanowiących drukiem ogłoszone przez Wacł. Aleks. Maciejowskiego.)

Artykuł pierwszy zawiera: Dzieje Polski przedchrobrowej aż do początku panowania w niej rodziny Piasta, zaczerpnięte ze źródeł pomnikami tychże dziejów od Aug. Bielowskiego wydanymi nie objętych i opowiedziane z uwagą na ościenne kraje, na Ruś, Litwę i Czechy — a osobliwie na starodawne i dzisiejsze Niemcy. *Warszawa w drukarni K. Kowalewskiego 1872 r.*

Dziełko to Nestora naszych obecnię żyjących uczonych tyle zagranicą dla swej niezmordowanej pracy, płodności i świeżości umysłu mimo wieku zgrzybiałego podziwianego, przeszło z biurka autora do handlu księgarskiego, a ztąd do rąk czytelników, nie zwróciwszy wcale na siebie takiej uwagi, na jaką w świecie naukowym zasługuje. Dla czego? Niezawodnie dla tego, że pomysły w tem dziełku przez autora wyrażone są zbyt nowe, przyjętym dotychczas za prawdziwe pomysłom uczonych tak słowiańskich jak germańskich djametralnie przeciwne, a zatem dla uczonych cięższego kalibru niepożądane a dla uczonych lżejszego kalibru niezrozumiałe. A przecież z tych właśnie powodów powinnoby to dziełko w wysokim stopniu zainteresować świat uczonych i obudzić spory badaczy, które z czasem mogą dzieje pierwotne Słowiańszczyzny w ogóle a Polski w szczególe na granitowym osadzić gruncie. Przedewszystkiem mogą te pomysły, przepuszczone przez rozczyn wszechstronnej i głębokiej krytyki, wyświecić należycie i stanowczo etnograficzny i cywilizacyjny stosunek Słowiańszczyzny do Teutonizmu i to na korzyść Słowiańszczyzny. Jeżeli bowiem pomysły p. W. A. Maciejowskiego okażą się prawdziwymi, a raczej, właściwie rzecz biorąc najbliższemi do historycznej prawdy hipotezami, to w takim razi

zarozumiałe wyobrażenia Germanów o swojej wyższości cywilizacyjnej w obec Słowian zachwiać się, a nawet upaść muszą, o ile, że te pomysły są światłem różanej jutrzenki zwiastującej słońce tej prawdy, że ziarna cywilizacji aryjskiej wcześniej się w słowiańszczyźnie niż w teutonizmie przyjęły i rozplemiły, że z ręki Słowianina (a nie odwrotnie) wziął Germanin ziarno Tryptolema, ziarno społecznej cywilizacji.

Dotychczasowi uczeni nasi badacze dziejów, mistrze słowa i myśli, zapuszczając się w badania pierwocin dziejowych słowiańszczyzny, nie znając wcale etnograficznego skalpelu lub za mało się nim posługując, kiedy doszli tam, gdzie ginie ślad tradycji i pomników niemych rodzimych a zaczyna się świadectwo pisarzy narodów starożytnych, które się z nowożytnymi narodami aryjskimi stykały, poszli na pasek klasycznych pisarzy i scholastycznym trybem „iurabant in verba magistri“. Ztąd poszło, że Tacyta poglądy wyrażone w dziele jego „De origine situ moribus ac populis Germaniae“, nietknięte ostrzem krytyki, uchodziły i uchodzą dotąd za słowa wyroczni w kwestjach dotyczących pierwocin dziejów germańskiego plemienia. Tenże Tacyt powiedział w rozdziele drugim cytowanego dzieła: „Ipsos Germanos indigenas crediderim, minimeque aliarum gentium adventibus et hospitiis mixtos“ t. z. „Co się tyczy narodu Germanów, to tych uważałbym za tubylców i to bynajmniej nie pomięszanych z przybyszami i osadnikami innych narodowości“. Czytałem kilka komentarzy dzieła tego napisanych przez niemieckich uczonych, a we wszystkich znalazłem zgodę ze zdaniem Tacyta i wiarę w jego pomysły. Nic w tem dziwnego: „Credimus, quae volumus“. Książka Tacytowa o Germanii jest kadzidłem dla Niemców. Pochlebia ona pochwałami hojną dłonią przez Rzymianina ich przodkom udzielonemi, a znana ich na polu politycznem i naukowem zachłanność, gdyby nie miała zarodu w ich krwi i charakterze, toby jej podstawę znalazła w tem dziele Tacyta. Wszak Tacyt uważa Germanów za naród przymieszkami obcych narodów niepokalany, a widzi w nich pierwotnych mieszkańców rozległych krajów nietylko między Renem a Odrą, ale i między Odrą a Wisłą, ba nawet i za Wisłą i za morzem aż w Skandynawii ich upatruje. Tak tedy Germanin, wyciągając łupieżczą rękę po kraje polskie i germanizując mieszkańców tychże, działa niby w myśl prawa historycznego. To tylko przypływ morza, które przed wieki odpłynęło.

Tymczasem prawo to mniemane Niemców jest bezprawiem w obliczu prawdy naukowej. Tacyt nie ufundował dla historji Germanów granitowego gruntu; świadectwa jego, acz cenne, są pełne błędów, złudzeń i mniemań, które w obliczu krytyki opartej na gruncie etnografii znikają jak mary nocne przed światłem słonecznem.

Tacyt nie podróżował po ziemiach, które zaludnia germańskiego szczepu ludami, nie czytał dokumentów ich, nie znał ich mowy, obyczajów, ale znał tylko ludy na prawym brzegu Renu osiadłe, wieści o nich czerpał z podań o tych ludach przez towarzyszów broni Cezara, Warrusa i Germanika szerzonych. Krótko mówiąc, kto zna aparata historjograficzne pisarzy ówczesnych, jakże może przypuścić, że Tacyt zdołał o ludach po za Elbą lub Wisłą prawdziwe podawać wieści?! Co wiedział o części, to przeniósł na całość, całość tę rozszerzył — a na świadectwie o niej położył pieczęć, którą dopiero W. A. Maciejowski odczytał, błąd w niej dostrzegł i w imię prawdy skruszyć się ośmielił.

Trzy kardynalne błędy historyczne popełnił Tacyt w księdze o Germanii. Najprzód nieprawdą jest, jakoby Germanowie byli tubylcami w krainach między Renem a Narwią i Bugiem; powtóre nieprawdą jest, jakoby naraz, t. j. w jednym czasie całą tę przestrzeń zamieszkiwali byli; po trzecie nieprawdą jest, jakoby Germanowie na wskazanych przezeń ziemiach siedzący nie byli pomięszani z ludami innego szczepu.

Dwa pierwsze błędy prostują pisma najznakomitszych badaczy naszych, jak Lelewela, Bielowskiego, Szajnochy, Kętrzyńskiego (Die Lygier) i w. i., przyznając twierdzeniom Tacyta względną prawdę, trzeci błąd najważniejszy pozostał niezaczepiony krytyką aż do Maciejowskiego, a i dziś jeszcze nie został on w nauce historycznej uchylony. Pierwszy wskazał nań nie domysłem wiedziony, ale zasadami etnograficznemi powodowany W. A. Maciejowski. twierdząc, że ten naród, który Tacyt (roz. 38 do 46) uważa za największy pomiędzy narodami szczepu germańskiego, bo według Orozjusza aż z pięćdziesięciu czterech ludów złożony, tj. naród Swewów, którym siedziby od Renu aż do Bugu naznacza, nie jest narodem germańskiego, ale słowiańskiego pochodzenia. Tezę tę obrabia p. W. A. Maciejowski już od lat kilkudziesięciu w różnych rozprawach, artykułach, dziełach i rozmowach z uczonymi. Najobszerniej obrobił ją w dziełku, o którem właśnie mówimy. Tu już wywody swoje ze źródeł etnografji zaczerpnięte opiera na pomnikach historycznych, każąc tablicy heraklejskiej, dziełom historycznym Józefa Flawiusza i pismom Tacyta świadczyć za swojem zdaniem. Cytuje on w tym artykule zdania mnóstwa pisarzy tak starożytnych jak nowożytnych i biorąc je na retortę etnograficznej krytyki, wydobywa z nich potwierdzenie swej tezy.

Teza ta jest w dziedzinie badań historycznych tak ważną, że jeżeli zostanie stwierdzoną, będzie miała w poglądach historji ludów europejskich takie znaczenie, jakie miały i mają prawdy przez Kopernika odkryte w wyobrażeniach geograficznych i astronomicznych. Tezę tę zapisuje nam w spuściznie duchownej geniusz niestrudzonego badacza, co jak cedr libański niezmienną kwitnie pod ciężarem dziewiątego krzyżyka młodością. Zadaniem młodego pokolenia jest podjąć miłościwie tę wielką myśl, poświęcić dla niej potrzebne chwile czasu, i albo ją odrzucić jak wiedźmę fałszu, albo zdobyć dla niej w dziedzinie umiejętności historycznej zasłużone stanowisko i rozniecić słońce prawdy, którego ona jutrzenką.

Celem niniejszego artykułu jest tylko zwrócenie uwagi badaczy dziejowych, zwłaszcza młodszych, na wielką tezę poruszodą w cytowanem dziełku W. A. Maciejowskiego. Drogi, jakiemi ma iść badacz, środki, jakimi się w tem badaniu ma posłużyć, wskaże mu samo to dzieło.

Nie mając czasu do rozpoczęcia tych krytycznych studjów, zajęty nader uciążliwemi i zbyt licznemi pracami swego zawodu, nie będąc wreszcie historykiem z powołania, zachęcam drugich zdolniejszych do tej pracy. Jednakże i sam się od niej zupełnie nie usunę, ale bodaj cegiełkę przyłożę do budowy tej piramidy badań, którą stworzyć musi teza p. W. A. Maciejowskiego. W przedmowie do przekładu Germanji Tacyta przedstawię swego czasu myśl tę w świetle, jakiego dla niej dostarczają pisma Tacyta.

Tarnów, d. 18 listopada 1878.

Fr. Habura.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 16. stycznia.

Trzy zdarzenia głównie w tym tygodniu zajmowały publiczność lwowską. „Niniche, walka panów kandydatów o posadę członka Rady Szkolnej z łona Rady Mieskiej wybieranego, i list korespondenta lwowskiego do Czasu.“

Zacznijmy od Niniche. Więc cóż to jest ta Niniche, (bo to rzeczywiście jest ona rodzaju żeńskiego) ta głośna, skandaliczna Niniche która z taką wrzawą obiegła całą Europę i zatrzymała się nareszcie we Lwowie? — Nie mamy w polskim języku odpowiednio-przyzwoitego wyrazu, aby taką osobę jak Niniche przedstawić, nazwać po imieniu, choć samych Niniszek wcale nam nie brakuje. Ale za to brakuje nam takiego Artura du Bresille przyjaciela Niniszki, człowieka z wyższych sfer paryzkich, niedostaje Eugeniusza sługi kąpielowego, zapewne dlatego, że nie mamy samych kąpieli, — wreszcie nie mamy hrabiego dyplomaty, jakkolwiek dzienniki lwowskie całą delegacją polską w Wiedniu posądzają o dyplomatyzowanie... Otóż hrabia dyplomata przez Dyrekcję teatru z polaka dyplomaty, zapewne z czasów Stanisława Augusta, przerobiony na hrabiego Bebutowa z dzisiejszej epoki, — jest szczęśliwym mężem, szczęśliwej także Niniche, która spożywszy w Wiedniu brylanty jakiegoś księcia krwi z Petersburga, wydała się za owego dyplomatę i przyjechała z nim razem do kąpieli morskich w Trouville. Hrabiemu dyplomacie, właśnie jej mężowi, polecono za jaką bądź cenę wydobyć z rąk nieznanej mu Niniche owe brylanty i listy kompromitować mające tego księcia,— cała więc treść akcji osnuwa się na tym fakcie, w którym najważniejszą rolę grają — nie zgadlibyście nigdy.... pantalony!... Prawda że to bardzo animująca sztuka? Wielki Boże, jakaż to musi być mizerota umysłowa autorów, teatrów i publiczności paryzkiej, jeżeli taka brzydota sceniczna mogła wywołać furorę w Paryżu, a podobno i w Wiedniu!... Z własnego przeświadczenia zapewniam czytelników, że ani jedna scena nie jest w stanie wywołać śmiechu nawet bardzo mało wymagającego widza, wszystko to jest niżej farsy, coś za głupie.

Że Dyrekcja wystawiła tę niby sztukę, dziwić się temu nie można — idzie tu o handel. Wiadomo, że Anglicy prowadzili wojnę z Chinami gdy rząd ich nie chciał pozwolić na trucie swej ludności przez opium,—a naszej dyrekcji teatrów przecież daleko jeszcze do Anglików. Lecz, że publiczność mogła pięć razy patrzeć na te banialuki — to jakoś bardzo smutne daje wyobrażenie o skali jej estetycznego poczucia. O mężczyznach nie mówię, idą do teatru *dla dorosłych* (chociaż Niniche dostała się przez pomyłkę do teatru i dla niedorosłych), dlatego, że nikt z nas nie chce uchodzić za niedorostka, ale biedne kobiety kręciły się też bo kręciły ze wstydu. I oczka sobie zasłaniały batystowemi chusteczkami i połykały rumieńce, ale trudna rada, kto szuka pikantnych wrażeń, niech je spożywa, daj Boże tylko aby nie strawił... Nie uwierzycie szanowne czytelniczki

jak to się łatwo oswoić można ze wszystkiem na świecie.

Na polu publicystyki walka o wybór Radcy Szkolnego trwa dalej. Poufne zwierzenia kandydatów zamiast wyświecić przeszłe zasługi obydwóch rywalizujących, wywołały tylko nowe zatargi, zaprzeczenia, odpowiedzi i gorzkie wyrzuty. Może to jest przyjętem i w zwyczaj parlamentarny wprowadzonem, osobiste chwalenie się kandydatów, ale przyznajemy, że wobec rozsądku cokolwiek śmiesznie wygląda ta *propria laus*, która jak wiadomo zawsze *sordet*. Czyby to nie lepiej było, żeby ktoś inny te wielkie zasługi pretendentów podnosił? Przynajmniej jeżeliby z tej operacji wyszła jaka woń nieprzyjemna, toby ją inni poczuli, a tak ile to potrzeba będzie zużytkować flaszek kolońskiej wody nim się nos samochwalczy do niej przyzwyczai!...

Najnowszy skandal, ale nie ten, który dziś przedstawiają w teatrze, bo on tylko w tytule ma być takim, ale prawdziwy skandal (przynajmniej jak nasze dzienniki zapewniają) dostał się do jedenastego numeru „Czasu" w formie listu korespondenta ze Lwowa. Otóż ten mniemany korespondent, przybrawszy na siebie rolę jednego z proroków starego testamentu, przepowiedział, a nawet streścił to, o czem ma mówić pan Hausner w Radzie państwa z okoliczności dyskusji nad traktatem berlińskim. Doprawdy w tem zdarzeniu już sobie sam Hausner winien. Dlaczego na dziedzińcu domu, w którym mieszka, na głos uczy się na pamięć swej mowy, i dlaczego zamiast trzymać sobie stałego korepetytora, każe się przesłuchiwać p. Dobrzańskiemu i Romanowiczowi, zapewne także na podwórzu redakcyjnem. Inaczej bowiem trudno sobie wytłumaczyć gdzieby szanowny korespondent mógł się o takich szczegółach przyszłej mowy dowiedzieć; nie przypuszczamy bowiem, aby śmiał pode drzwiami podsłuchiwać — fe, to byłoby brzydko i niebezpiecznie... czasem może ktoś nagle drzwi otworzyć, a dalsza konsekwencja wiadoma. Ponieważ jeden i drugi redaktor wystąpili z zaprzeczeniem, iż nie byli korepetytorami p. Hausnera i jak słyszeliśmy posłali protesta swoje do ogłoszenia do „Czasu", zatem cały ten fakt wygląda na mistyfikację dziennikarską.

Sobotnia reduta w teatrze, mimo bezpłatnego wejścia zapewnionego maskom, zupełnie się nie udała. Jest to fakt nadzwyczaj pocieszający dla Lwowa, że już nikt nie chce przywdziewać na siebie maski. Jesteśmy tem, czem jesteśmy i za darmo nie chowamy naszych przekonań. Inna rzecz jakby kto zapłacił, albo coś choćby z daleka pokazał; — w takim razie moglibyśmy się zdobyć nawet na pisanie bezimiennej broszury jakiej, w której już nie z pod maski, ale z za płota, potrafilibyśmy ukamienować jakiego lwowskiego świętego Szczepana...

Powszechnie żałują we Lwowie zniszczenia przez c. k. prokuratorję bardzo dowcipnie napisanej broszury pod tytułem: „Tymczasem". Nie możemy się pochwalić abyśmy ją po wydrukowaniu czytali, lecz o ile nas słuchy dochodzą, była tam bardzo gruntownie przeprowadzona i dowodami poparta teorja, że w każdym kraju mniejszość bezwarunkowo jest mądrzejszą od większości, o czem tabele statystyczne wykazujące stopień wykształcenia narodowego przekonywają. Zatem czegoż się tak rzucać na ową mniejszość w naszej delegacji do Rady państwa? — Trudno zaprzeczać oczywistości znanej powszechnie.

Zawiadamiając w końcu czytelników, że noc karnawałowa urządzona dla amatorów ślizgania się na Szumanowskiej sadzawce, nie powiodła się z powodu mgły grożącej niebezpiecznemi karambolami; powtarzamy za innemi gazetami wiadomość o ważnem odkryciu w dziedzinie fotografii. Niejaki Karol Szteinbach chemik mieszkający w Limie, wynalazł takie zwierciadło, przed którem dosyć jest postać kilka minut, aby się wizerunek patrzącego z całą dokładnością i kolorytem najzupełniej utrwalił. Nawet oddalenie od płaszczyzny zwierciadła, gest chwilowy i wyraz oczu, zostaje na wieczne czasy zaklęty w to zwierciadło... Korespondent Fanfulli, który portrety takie oglądał donosi, że zdumiony został pięknością takiego wizerunku, i że ten Szteinbach już sprzedał swój wynalazek zwierciadlanej fotografii za 400 tysięcy dolarów — a obecnie cena takiego portretu nie wynosi drożej jak od 10 do 40 dolarów. Biedni wy artyści malarze, jaka to klęska was czeka, a piękne moje czytelniczki cieszcie się, wasza piękność i uśmiech wabiący już nigdy się nie zestarzeją i z pamięci nie zaginą.

* * *

Teatr uczęstował nas w tym tygodniu dwiema nowościami: bardzo starą operetką francuską Adama „Pocztyljon z Longjumeau" i „Najnowszym skandalem" Teodora Barriere. Ostatnia sztuka należy do rzędu tych, co się szczęśliwie kończą, jak mawia jeden z moich znajomych, nie lubiący długo siedzieć w teatrze, co nie znaczy u niego, że cnota jest wynagrodzona, a zbrodnia ukarana, jak należy, lub że cierpiący przez całą sztukę kochankowie otrzymują przed samem zapadnięciem kurtyny błogosławieństwo rodzicielskie, ale że sztuka kończy się przed półdodziesiątą. Jest to zaprawdę nie mała zaleta, uspasabiająca do pobłażliwości dla słabych stron tego komedjo-dramatu. Początek interesujący, zapowiada wielką i straszną burzę, która się zbiera nad głową szlachetnej i pięknej kobiety. Autor nabija fuzję dramatyczną ogromnym nabojem intrygi, przykłada się, mierzy, już wycelował, pociąga kurek i — klap! — nie wypaliło. Trzeci akt przedstawia ubolewania godny widok nieporadności autorskiej. Gdyby to Sardou miał w ręku, coby on za cudo intrygi zrobił z tego trzeciego aktu. Biedny Barrière poci się, męczy i zdobywa się na pomysły niesłychanie naiwne. Są jednak rozsiane po sztuce ładne sceny, sytuacje, utarte wprawdzie, ale zajmujące i wzruszające, a ton całej sztuki szlachetny.

Ową piękną i szlachetną bohaterką była pani Ładnowska i w sympatycznej roli bardzo sympatycznie wyglądała, o czem nie trzeba długo przekonywać czytelnika. Szczególnie szczęśliwą chwilę miała w scenie pożegnania z przyszłym swoim mężem (przy końcu pierwszego aktu), gdzie nagłe, radośne ale poskromione zadziwienie oddał z największą prawdą. Obok pani Ładnowskiej występują w tej sztuce pani Aszpergerowa, Parźnicka i Woleńska.

* * *

Dnia 7. stycznia w Galicji pod Rzeszowem zmarła hrabina Henryka Ewa Kuczkowska, z domu Ankwicz, owa Henryetta Ankwiczówna, co wprawdzie jak meteor przeszła przez niebo uczuć Mickiewicza, zostawiła jednak nieśmiertelne ślady swego przejścia w jego poezji. Kto czytał trzeci tom „Listów z podróży" Odyńca, ten dobrze poznał tę postać poetyczną, wiotką, czułą, jakby stworzoną na to, aby stać się dozgonną towarzyszką poety, którą jednak uprzedzenia rodowe ojca zbyt silnie krępowały, ażeby mogła była pójść za wewnętrznym głosem uczucia. Całe pół wieku grobowym kamieniem legło na tej miłości, a jednak dziś jeszcze z pod tego kamienia dolata nas zapach świeżych, wonnych, majowych uczuć i cudownych złudzeń, któremi się przez krótką, ale piękną chwilę karmiła owa wybrana para. Drogi ich rozeszły się, ale Henryetta wplątawszy się w losy poety, zyskała sobie nieśmiertelność ona to bowiem jest ową Ewunią, z powodu której Jacek Soplica dopuszcza się krwawej zbrodni, i tą Ewą w trzeciej części Dziadów, która ma rajskie widzenia we śnie. Do niej to nareszcie napisał Mickiewicz wiersz, którego ostatnia strofa zawierała w sobie misterne oświadczenie miłości:

Ty umiesz nawet przejrzeć serca z głazu,
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma;
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiesz może i *przyszłość* pielgrzyma.

Kto wie, coby się stało, gdyby w istocie wiedziano przyszłość pielgrzyma, gdyby wiedziano, że autor Wallenroda zostanie niebawem twórcą Pana Tadeusza!

LISTY Z KRAJU.

Kilka słów tyczących się naszego języka.

Z Kongresówki, w Grudniu 1878.

Przed kilkoma latami jak wiadomo, zacny i uczony profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, Doktor Skobel, śledząc szczególniej w Galicji upadek języka polskiego, przez codzienne szpecenie go wyrazami cudzoziemskiemi, najniepotrzebniej w miejsce swojskich daleko lepszych wprowadzonemi; widząc słusznie w tem bezmyślnem krzywdzeniu mowy ojczystej, ostatni, bo najcięższy cios zadawany naszej narodowości, podniósł głos w obronie tej jedynej dzisiaj spuścizny, w trzech bardzo ważnych rozprawach; sądząc nie bez słuszności, że szpecenie i zaguba języka pochodzi w części z lekceważenia, a w części z braku właściwego naukowego wykształcenia, gdy mowa ojczysta wszelkiemi sposobami przez pewne rzędy tępioną zostaje.

Powyższe prace zacnego profesora, zjednały mu wdzięczność światłych mężów naszych miłujących Ojczyznę, atoli z boleścią wyznać przychodzi, że nie we wszystkich okolicach tejże wydały one błogie owoce. Pominąwszy Galicję w której język narodowy odzyskał prawa swoje w szkole i urzędzie, a zatem ze szpetnych naleciałości obcych przez naukę oczyszczać się musi, widzimy u nas przeciwnie, gdyż liczni młodzi rozlicznych pism pisarze, widocznie nie znający często zasad gramatyki ani dzieł wzorowych naszych rodaków, z lekceważeniem, jakby naumyślnie go szpecą, wprowadzając niepotrzebnie wyrazy cudzoziemskie, których często i sami nie rozumieją, jak np. świeży jakiś barbaryzm „wyroby laubzegowe," oraz zwroty mowy niewłaściwe z obcych języków.

Znajdzie się wprawdzie jeszcze u nas, lubo już za szczupła liczba znawców języka ojczystego, którzy, czasami odzywają się do owych pisarzów, wykazując im ich nieuctwo i jego skutki, ale to wszystko na próżno, bo możnaby już dziś wykazać w pismach naszych taką mnogość makaronizmów z języków obcych, a często nawet w fałszywem znaczeniu użytych, że to przypomina nasz najgorszy okres literatury, przy upadku za rządu Sasów oświaty narodowej.

Na poparcie powyższych uwag, możnaby wziąść którekolwiek pismo codzienne u nas wychodzące, a zobaczyliśmy — jakto często autor nawet artykułu wstępnego, obficie posługuje się bez potrzeby wyrazami obcemi jak np. *konstatować, akcentować, warstwy*

dynamiczne przybyszowe; ludność się *amalgamuje*; *eksploatować* itd., ale co najgorsza, pisze także *ludzie umią*; w tym ostatnim razie wszelkie uwagi byłyby zbyteczne i chybaby jedynie dodać należało, że Redakcje dbałe choćby tylko o powodzenie swego pisma, takie *omyłki* poprawiaćby powinny; o takim to ich obowiązku pisze i uczony znawca naszego języka zacny Dr. Skobel (Poszyt 3. Kraków 1877 r. str. 155.)

W temże samem piśmie, w zawiadomieniu dziesięciowierszowem, znajdujemy aż cztery wyrazy cudzoziemskie, ale dla krótkości, o jednym tylko potwornym nadmienimy.

W latarniach gazowych, rurkę przez którą gaz wypuszczony zapala się i dalej płonie, Francuzi nazywają *Bec*. Przy zaprowadzeniu w Warszawie oświetlenia gazowego, właściwi znawcy, zapewne inżynierowie polscy, w raportach urzędowych, „bec“ nazwali płomiennik; wyraz ten szczęśliwy, na duchu języka oparty, od razu się upowszechnił a tymczasem obecnie, pismo o którem mowa pisze tak: „*światło wyrównywające 10 tysięcy beków*“!!! A cóż jeszcze pomyśleć, że tamże zamieszczoną była przed pewnym czasem słuszna pochwała wyrazu „*płomiennik*,“ a zatem wyparcie się *beków*? Obecnie jednak Redaktor pisma Mucha w numerze z dnia 23 listopada roku bieżącego dowcipnie tę szkaradę wyszydził.

Pomijamy mnóstwo wyrazów obcych, nieustannie tak w tem, jak i w wielu innych pismach tutejszych napotykanych, jak np. „Literatura ma swoje *fazy*,“ „*konterfekt*,“ wyraz *rezultat*, który od razu daje pojęcie o rozumie piszącego; piękny wyraz *krach*!! którego nikt nie rozumiał, i świeżo wprowadzony od was wyraz *memorować i rozciągnąć merytorycznie*; bo nad biedą umysłową tak piszących tylko litować się można. Dodamy jednak uwagę, że podobne lekceważenie pięknej i bogatej naszej mowy, trudne do poprawy w przyszłości, gotuje grób naszemu narodowi, jak życzy sobie głównie walka kultury niemieckiej!!!

Prawda że tak potwornej niedorzeczności jak powyższe barbaryzmy nie ma we wszystkich pismach naszych, lecz niekiedy w wielu w tym względzie lekceważenie za daleko zachodzi; tak np. czyż to nie śmiesznością pisać dla ludu, a używać wyrazów: „*tramwaje, skwery, krachy* i tp. których nikt tam nie rozumie? Lekceważenie to zrobiło, że słyszeliśmy przed kilku latami w zgromadzeniu polskiem, jak pewien z Polaków noszących imię dawniej zasłużonych Ojczyźnie przodków, publicznie oświadczył, że ponieważ nie zna dobrze języka polskiego, zatem swoje przedstawienia czytać będzie w języku francuskim. Z patrjotyzmu to zapewne, drugi podobny poprzedniemu, nakazał (jak słyszeliśmy) uczyć swych dzieci Historji Polskiej, aby, jak sądził, nie wzbudzać nienawiści w uciskającej kraj nasz narodowości.

W reszcie w powyższej okoliczności, nastręcza się jeszcze następna uwaga. Jestże to rozumnie, porzucać w mowie ojców, wyrazy piękne i powszechnie używane, a tworzyć nowe i złe? — Że zaś tak się dzieje, niech nam posłuży jeden (z wielu) tylko przykład. Od pewnego czasu w Warszawie, zamiast wybornego wyrazu żywot, używają sklejonego niezgrabnie wyrazu „*życiorys*,“ chociaż każdy widzi, że nie wypadałoby mówić: życiorys Pana Jezusa, lub Matki Boskiej i td.

Wreszcie wyraz *życiorys*, należycie ocenił profesor Skobel. (O skażeniu języka polskiego wydanie IIcie z r. 1872 str. 14). Ale słowa prawdy uczonych naszych językoznawców, nie są znane wielu dzisiejszym nauczycielom narodu!

Jeszcze dalej na tej drodze postępują nasi w ogóle wydawcy, między któremi nie masz u nas zacnego Żupańskiego; a na powyższe twierdzenie przytoczymy następujący dowody.

Niedawno księgarz warszawski Glücksberg, wydał po polsku pismo święte z tytułem tej treści: „z illustracjami p. Doré.“ Łatwo było jednak przewidzieć, że nie podobna pisać illustracja Adama i Ewy w Raju i tp., równie jak i to, że podług prawideł języka, należałoby napisać p. Dore'go, nie Doré.

W tych czasach także, pisma codzienne nasze ciągle ogłaszają o Encyklopedji powszechnej synów zmarłego zasłużonego dobrze krajowi księgarza S. Orgelbranda, w których czytamy:

„*Suplement* dodany będzie“ i td. Czyżby zapomnieli wydawcy że jest wiele wyrazów polskich jak np. *dodatki, przypisy, wyjaśnienia, dopełnienia* i td. które powinny tu zamiast suplementu być użyte, bo tego obcego wyrazu, żadenby Polak, znający i milujący swój język, w wydawnictwie polskiem, do nadpisu swej książki nie użył.

Nie rozpisując się dłużej nad powyższym smutnym przedmiotem, bo wszystko to nie mogłoby być krótko skreślone, tem bardziej, że o ile wiemy, zajmują się obszernie *szczegółowo* z czasem to uskutecznić; dodajemy tylko nawiasowo parę słów z powodu kilku wierszy uczonego profesora Skobla (o skażeniu języka polskiego poszyt III w Krakowie 1877 str. 138). Zdaje się, że ten mąż nie był pewny zkąd wywodzi się wyrażenie, *puścić w trąbę*, które się upowszechnia w znaczeniu, gdy ktoś nie bardzo lubiany uległ zapomnieniu, został porzucony i t. p.

Zgadzając się na zdanie, że to wyrażenie jest rubaszne, dodamy tylko, że w Warszawie jest ono, lubo nie pamiętamy, między średnią klasą i głównie przez mężczyzn dosyć często używane *).

*) To wyrażenie pochodzi niewątpliwie z tej okoliczności: w Warszawie w miejscach publicznych, jak: sklepy z napojami wyskokowemi, trudnią się niekiedy i wydawaniem jedzenia nakształt jadalni zwyczajnych; że zaś kuchnie tych jadalni zwykle bywają urządzane lub w piwnicach, lub w izdebkach między dolnem mieszkaniem, a pierwszem piątrem umieszczonych; dla prędszego więc poruzumienia się ze służbą, porobiono właściwe otwory w suficie lub w podłodze, w które powstawiano rury otwarte, a przez takowe właściciel wydaje rozkazy nie potrzebując już posyłać nikogo do kuchni, lub do jakiego innego miejsca. Rury powyższe z zakończeniem lejowatem, mają podobieństwo do narzędzia muzycznego zwanego trąbą To urządzenie, dało niewątpliwie początek wyrażeniu „puścić w trąbę,“ gdyż z jadalni przeniosło się i gdzieindziej, bo do kantorów bankierskich, biór i tp.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Wyszła obecnie w ozdobnem wydaniu, drukowana poprzednio w „Kłosach“, powieść Elizy Orzeszkowej „Meir-Ezofowicz“.

Książka ozdobiona 26 ilustracjami Andriollego (nakład Lewentala r. 1879).

*** „Syn marnotrawny“, opowiadanie historyczne z końca XVIII w. przez J. I. Kraszewskiego w 2 tomach; wydanie „Biblioteki warszawskiej“.

*** Zasłużony krzewiciel oświaty między ludem polskim Karol Miarka, nakładca „Katolika“, wydaje od Nowego Roku nowe pismo pod tytułem: „Poradnik gospodarczy“, gazeta rolnicza i organ Górnoszląskiego Towarzystwa Włościan. Co dwa tygodnie wychodzi arkusz o 16 stronicach, przedpłata ćwierćrocznie wynosi tylko 50 fenigów. Pierwszy numer zawiera odezwę do rolników, objaśniającą zadanie Towarzystwa włościańskiego, które przed kilku tygodniami zawiązano w Mikołowie, dalej statuta, poczem następują artykuliki: o prawach, które gospodarz znać powinien, o hipotekach najważniejsze wiadomości, o nabywaniu własności nieruchomej, korespondencje o podatkach ciążących na chłopskich gospodarstwach, o potrzebie oświaty między gospodarzami i o pożyteczności czytania książek traktujących o gospodarstwie, wreszcie drobne rzeczy.

*** *Ateneum* za miesiąc styczeń rb. zawiera: „Katastrofa Patkula“. Przyczynek do dziejów epok 1704—1707 przez Kazimierza Jarochowskiego. — „Towiański i Mickiewicz“. (Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Listy i przemówienia 2 tomy 1877) przez P. Chmielowskiego.—„Polska w obec wybuchu wojen husyckich“, napisał Stanisław Smolka. — "Herbert Spencer“, przez Władysława Kozłowskiego. — „Krzyż nad otchłanią“, studjum kobiece, przez Deotymę.—„Z dziejów języka polskiego“. Objaśnienia do rozprawy W. W. Makuszewa p. t. „Ślady wpływu ruskiego na piśmiennictwo staropolskie“, wydrukowanej w czasopismie rosyjskiem *Sławiański Sbornik* (tom 3), napisał Ad. And. Kryński. „Krytyka:“ Joachima Lelewela zasługi na polu geografii, przez Stanisława Warnkę. Poznań, nakładem księgarni Żupańskiego. 8ka, str. 192, przez Wł. Smoleńskiego. Poezje Goethego (wybrane), tłómaczył Hugo Zathey. Kraków, 1879 r. przez Kazimierza Kaszewskiego. — „Kronika naukowa“, przez Brunona Abakanowicza.—„Kronika miesięczna“.

*** *Biblioteki warszawskiej* zeszyt na miesiąc styczeń, zawiera: 1) W sprawie Szczerbca Bolesławowego, przez Kajetana Kraszewskiego i Seweryna Smolikowskiego. 2) Wpływ dróg żelaznych na ruch ekonomiczny w Rossji, przez Jana Blocha. 3) Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu, przez K. Wł. Wójcickiego. 4) Kronika Lwowska, przez Wład. Zawadzkiego. 5) Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. 6) Woltaire i Russo na polu Ekonomji Politycznej, przez J. K. Piotrowskiego. 7) Korespondencja. 8) Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. 9) Wiadomości bieżące literackie, naukowe i artystyczne. 10) Nekrologja.

FR. HENRYK LEWESTAM.

De mortuis aut bene, aut nihil. Taka jest maksyma rzymska. Czy słuszna? Nie myślimy się nad tem zastanawiać tym razem. Przytaczamy ją, dla tego, że gdybyśmy się chcieli jej trzymać, to musielibyśmy, z powodu śmierci Lewestama, poprzestać na samej tylko wzmiance faktu. Jeżeli bowiem mógłby kto coś dobrego powiedzieć o nieboszczyku, to chyba rząd moskiewski, któremu służył z zaparciem się ludzkiej godności, z podeptaniem uczuć wdzięczności dla przybranej ojczyzny i szacunku dla stanowiska pisarza i profesora uniwersytetu — jak o tem dowodnie świadczą archiwa tajnej policji i gabinet Berga, którego był lektorem. — Powiadają, że Lewestam był zdolnym krytykiem, że jako autor Historji literatury powszechnej ma pewne zasługi w naszem piśmiennictwie. Co się tyczy jego historji literatury powszechnej — jest to niesumienna kompilacja, w której całemi ustępami zapożyczano się z dzieł obcych, bez wymienienia źródeł, kompilacja dokonana w pośpiechu bez ożywienia i obmyślanego planu. Powiększa ona wprawdzie liczbę polskich książek, ale ojczystej literatury nie wzbogaca wcale. Krytyki zaś jego, chociażby stokroć były lepszemi, nie zdolają zmyć z niego tej hańby, że w naszym narodzie odegrał taką samą rolę, jaką niegdyś Kotzebue w Niemczech — rolę płatnego szpiega moskiewskiego!

ROZMAITOŚCI.

*** Znany nasz rodak jen. Włodzimierz Krzyżanowski, który niedawno nie przyjął, ze względów klimatycznych, ofiarowywanej mu przez rząd Stanów Zjednoczonych posady wielkorządcy półwyspu Alaszki i wysp Aleutyckich, został obecnie zamianowany przez tenże rząd dyrektorem cła skarbu Stanów Zjednoczonych, który to urząd przyjął i złożył już wymaganą prawem przysięgę.

*** Krytyka amerykańska. Często bardzo artyści teatralni i muzyczni gorżko się uskarżają na postawę, jaką w obec nich zajmuje krytyka, lekceważąc przymioty a wyzyskując w sposób żartobliwy ich niedostatki, słabości i wady. Dla ukojenia rozżalonych artystów, polecamy odczytanie niektórych charakterystycznych próbek krytyki zaatlantyckiej, a z pewnością błogosławić będą losy, które ich zatrzymały na scenach i estradach europejskich i nie rzuciły na pastwę kłującym piórom amerykańskim. Następująca korespondencja wiedeńskiego *Fremdbl.* niechaj posłuży za ilustrację we wspomnianym względzie. Za pobytu mego w Louisvilleu w Kentucky—powiada korespondent – bawiła tamże amerykańska fortepianistka, której zdolności nie były słabsze od wielu tego rodzaju artystek, jakie dość często widujemy na estradach europejskich. Nazajutrz po koncercie wychodząca w Louisville gazeta pomieściła następujące sprawozdanie: Wczoraj spotkała nas niezwykła przyjemność, dzięki pannie M., która nas uraczyła koncertem. Młoda ta dama ukazała się zachwyconej publiczności w sukni obwieszonej tak znaczną ilością białej materji, że przypominała planetę Saturna ze wszystkiemi jego pierścieniami. Popłynęła ona uśmiechając się do fortepianu, siadła na krześle podobna do miski napełnionej pianą mydlaną. Następnie koncertantka odsunęła swoje mankiety, jak gdyby pragnęła zdobyć premium w bokserskiej walce. Dalej znów rozszerzyła palce z taką zaciętością, jakby chciała objąć niemi klawiaturę od końca do końca. Po tych przygotowawczych a dla publiczności nader rozczulających manipulacjach,

artystka przystąpiła do rzeczy. Naprzód więc rzuciła się na klawisze rękami z taką zapalczywością, jak tygrys na trzodę białych i czarnych jagniąt, zaś fortepian tak gwałtownie zawył, jak gdyby mu ktoś nastąpił na ogon. Nagle zaległa grobowa cisza, tak iż można było słyszeć, jak włosy na głowie rosną a przerażona publiczność oddech na chwilę wstrzymała. W tem fortepian znów zawył, jakby posiadał dwa ogony, na które jednocześnie nastąpiono i poczem znów bez przerwy artystka wydobywała z instrumentu tak gwałtowne wrzaski, stuki, tupania, trzaski i piski, jakby stado kotów toczyło zaciętą walkę ze szczurami i myszami...

*** Szczęście w nieszczęściu.

W zeszłą sobotę po południu — opowiada dziennik *Bohemia* — kiedy pociąg osobowy w całym pędzie przebywał przestrzeń między stacjami Neupaka a Belohrad, odskoczyły nagle w jednym z wagonów drzwiczki, jak się zdaje źle przymknięte i czteroletnia dziewczynka, stojąca właśnie obok matki przy oknie, wypadła z wagonu.

Biedna matka nie namyślając się, rzuciła się za dzieckiem, nim jej zdołały w tem przeszkodzić inne osoby, jadące w tym samym przedziale.

Pociąg pędził ciągle z jednakową chyżością i znajdował się już w znacznej odległości od miejsca wypadku, kiedy nareszcie konduktor usłyszał głosy podróżnych i zobaczył znaki dawane przez nich chustkami, ażeby zatrzymał pociąg.

W pustem polu stanął pociąg i jeden z konduktorów pobiegł aż do najbliższej budki strażniczej; nie znalazł jednak na tej przestrzeni ani matki, ani dziecka.

Pociąg więc ruszył dalej i dopiero na stacji Belohrad wyprawiono posłańców na linję, oraz zatelegrafowano o wypadku do minionej stacji.

We dwie godziny później nadeszła z Neupaku wiadomość, że tak matka jak i dziecko znalezione zostały nieuszkodzone wcale w niewielkiej od tej stacji odległości.

*** Po trzydziestu i ośmiu latach!

W dniu nowego roku zebrali się w Wiedniu w jednej restauracji b. uczniowie kolegjum piarzystów w Nicolsburg, którzy w roku 1841, w liczbie, trzydziestu kończyli studja.

Ze wszystkich stawili się:

jeden dziekan;
jeden głośmy lekarz, b. rector magnificus uniwersytetu wiedeńskiego;
jeden radca wyższego sądu;
jeden radca magistratualny;
jeden adwokat;
jeden radca rachunkowości;
jeden doktor medycyny;
dwaj wyżsi urzędnicy kolejowi;
jeden wyższy urzędnik pocztowy;
jeden urzędnik zarządu dóbr ks. Lichtenstein i...
jeden dziennikarz.

Dwaj jeszcze koledzy, jeden radca sądowy, drugi radca finansowy żyją w wielkiem od Wiednia oddaleniu i ztąd przybyć nie mogli.

Szesnastu zmarło...

Większa część tych weteranów nie widziała się od roku 1841

Po długiem czułem powitaniu, oblanem łzami, starcy silnie zaintonowali;

Gaudeamus igitur
Juvenes dum sumus...

*** W Wenecji co czas pewien zmartwychwstają krwawe dramata średnich wieków. Przed kilku właśnie dniami jeden z takich dramatów dostarczył publiczności silnych wrażeń. Niejaki Luigi Parmaschetti, drobny dzierżawca, miał niezwyczajnie piękną żonę, która natchnęła szaloną namiętnością służącego nazwiskiem Tetaldo. Ten, korzystając z nieobecności pana, wszedł w nocy do pokoju jego żony... Zgrozą przejmuje opis walki, jaką stoczyła bohaterska kobieta i w której padła okryta 32 pchnięciami noża. Parmeschetti, objaśniony przez ośmioletnią córeczkę, która się skryła pod łóżko, o całym przebiegu tej okropnej sceny, znalazłszy Tetalda w kupie nawozu, wraz z bratem porąbał go kosą i pogruchotał mu członki sztabą żelaza, a wreszcie polanego oliwą, dla przynęty ptaków, z dwoma przywiązanemi butelkami, rzucił do morza. Dwaj anglicy, jeżdżąc po lagunach, znaleźli półtrupa jeszcze żywym. Sąd skazał obu braci na 10 lat ciężkich robót; zebrały się jednak bardzo liczne podpisy na prośbę do króla o ułaskawienie winnych.

*** Policja paryska od pewnego czasu czujną jest bardzo na pojedynki, skutkiem czego, w miejsce bliskiego lasku bulońskiego, potrzebujący oczyszczać swój honor, musieli na spotkanie się, obierać terytorjum odległej Belgii. Szermierz jakiś chcąc usunąć tę niedogodność, proponuje, aby mający się pojedynkować, wynajmowali damę ubraną w ślubne szaty, której kareta poprzedzałaby ich powozy. Będzie to wyborna maska przeciwko czujności agentów, którzy przywykli widzieć pary ślubne po spisaniu aktu, często używające przejażdżki po lasku.

*** Fortuna kołem się toczy...

Doświadczyli tego na sobie najlepiej wiedeńscy i berlińscy gründerzy.

Przed kilku laty u szczytu chwały i na czele olbrzymich przedsiębiorstw—dziś są oni nędzarzami...

W Berlinie np. dość znaczna liczba zbyt ryzykownych finansistów, którzy w swoim czasie bywali w lożach i jeździli powozami, pełni obecnie skromne funkcje... pisarków w kancelarjach tamtejszych sądów.

Skromna płaca ledwo na suchy chleb im starczy.

W Wiedniu znów niektórzy byli finansiści zajmują obecnie wyniosłe stanowiska na... kozłach powozów publicznych.

Tak to na świecie!

BIAŁY RYCERZ

przez

ERNESTA DUBREUIL

przekład

Marji Jarmund.

Siedzieliśmy wszyscy czterej zebrani w około wielkiego komina.

Był to czwartek w miesiącu listopadzie. Pierwszy w miesiącu.

Wedle naszego zwyczaju, dnia tego zbieramy się na objad, kolejno u każdego z nas.

Jesteśmy starymi przyjaciółmi i lubimy rozmawiać o rzeczach przeszłych. Młodzi jeszcze — najstarszy z nas nie ma czterdziestu lat — ale przeszłość nasza pełna jest przyjaźni i wspomnienia. I te wspomnienia, te cienie naszych towarzyszy, którzy odeszli przed nami, te wypadki, które w sen się już zamieniły, te ciała, z których tylko widma pozostały, lubimy wywoływać dwanaście razy w roku.

W lecie zbieramy się na wsi, w głębi wielkiego lasu pełnego melancholji, lub na brzegu jednego z tych małych strumyczków, tak uroczych i skromnych, których zaledwie dosłyszany szmer podobnym jest do cichej pieszczoty zakochanej Najady.

W zimie przy dużym trzaskającym ogniu, gęste grube firanki są starannie zasunięte, pokój szczelnie zamknięty. Pudełko z cygarami stoi na stole, piwo musujące w szerokich szklankach. Żadnego hałasu z zewnątrz, oprócz czasami świstu wiatru wstrząsającego oknem, lub w oddaleniu turkotu powozu.

Oh! jesteśmy sami! zupełnie sami!

Moi przyjaciele są zacni, szlachetni ludzie, którzy z trudnością idąc drogą życia zdobyli sobie niezależne stanowiska. Nie są bogaci, a jednak woreczek ich jest zawsze otwarty dla jałmużny, jałmużny rozumnej i szlachetnej, która pobudza do zajęcia się nieszczęśliwym i podania mu ręki pierwej nim on tego zażąda.

Czy potrzeba wam powiedzieć koniecznie, co oni robią? To są żołnierze wielkiej armji.

Jeden jest poetą, drugi doktorem, trzeci młodym księdzem, pierwszym wikarjuszem w jednej z największych parafji Paryża.

Jest on najsmutniejszy z nas wszystkich, gdyż musi pocieszać największe nędze, dusze najbardziej cierpiące. Żyje skromnie, poświęcony dla ludzkości, którą pociesza swojem słowem i wzmacnia swoim przykładem.

Tego wieczora rozmawialiśmy o jednym z najlepszych z pośród nas, od sześciu lat bawiącym w Meksyku.

— Ten biedny Alfred! — powiedziałem doktorowi. — Cóż on tam robi?... Czyś miał wiadomości od niego?...

— Odebrałem wczoraj list i przynoszę go wam.

— Pokaż — wymówiliśmy wszyscy trzej.

Doktor wyciągnął list z kieszeni i zaczął czytać.

Ah! co za list wzruszający i smutny. Wydawał się mokrym od łez. Nasz przyjaciel zgubiony wśród tego bezmiernego Nowego świata przesyłał nam wszystkie smutki przepełniające mu serce, żal za Francją, za przyjaciółmi i rodziną. Ah! ileż goryczy i boleści!

— I pomyśleć — odezwałem się — że ten człowiek zacny, szlachetny nie mógł się tutaj dorobić niczego! Wszystko mu się z rąk wymykało; wszystkiego próbował, wszystko rozpoczynał, ale zdawało się, że za każdem wysileniem tego niezmordowanego pracownika jakiś zły geniusz wysilał sie na zniszczenie.

— Fatalizm!

— Fatalizm. Tak nie co innego.

— Nie mówcie tak panowie — zawołał ksiądz — bo Bóg rządzi wszystkiem. Ukorzmy się i módlmy.

— Mój drogi księże, zaręczam ci, że są istoty przeklęte przy urodzeniu... Jaki one ciężki dług spłacają? Nie wiem. Jaką zbrodnią ich ród je splamił. Nie mogę odgadnąć. Lecz pewnem jest, że całe ich życie zdaje się być jedną długą pokutą.

— To prawda — wtrącił poeta.

— I cokolwiek robić mogą, przeznaczenie ich musi się wypełnić. Ojcowie pomarli nieukarani, synowie żyją żeby ponieść tę karę. Bo jakżeż inaczej wyjaśnić sobie te nieustanne nieszczęścia sypiące się na niewinną głowę.

— Człowiek ma wolną wolę która go prowadzi, ma sumienie i świadomość, które mu pozwalają rozróżnić dobre od złego. Niechże więc nie oskarża o swoje nieszczęścia, lub swój upadek jakiejś ślepej bogini, jakiejś siły tajemnej, niech wie, że sobie zawdzięcza tylko powodzenie albo klęskę. Fatalizm jest wyrazem wynalezionym przez dusze słabe, podłe lub zbrodnicze, które wolą oszczędzić sobie walki uznając się naprzód za zwyciężone niż rozpocząć bój.

— Powtarzam ci, że bywają takie przykłady uporczywego fatalizmu, iż trudno nie wierzyć w jakąś siłę niewidzialną, która nas z wszystkich stron uciska.

— Co do mnie to z całych sił bronię się przeciw takiemu przekonaniu — odparł młody wikarjusz — to jest zasada islamizmu i widzicie do jakiego stopnia hańbiącego poniżenia i nędznego niewolnictwa doszły ludy na Wschodzie, dla tego tylko, że nie umieją się otrząsnąć z niedorzecznej wiary w fatalizm.

— Czy pozwolicie mi opowiedzieć w tym przedmiocie powiastkę?

— Bajkę?

— Powiastkę. Chętnie jej posłucham — odezwał się wikarjusz — lecz cokolwiek ona zechce udowodnić to będzie tylko wyjątek potwierdzający regułę.

— Słyszałem ją od mego ojca. Znaliście go. Był to człowiek poważny, wykształcony, umysłu bardzo jasnego i pełen zdrowego rozumu. Wiecie iż nie był zdolny do wmawiania w kogoś rzeczy, która nigdy nie miała miejsca, dla prostej przyjemności opowiadania. Otóż to jest opowiadany mi ze sto razy epizod z jego życia wojskowego, który mnie do wysokiego stopnia utwierdził w przekonaniu, jakie przed chwilą wyraziłem, że jest przeznaczenie i nikt go ominąć nie może.

— Teraz twoja powieść — zawołali moi trzej przyjaciele.

Dorzucono kawałek drzewa do ognia, zapalono cygara a ja rozpocząłem opowiadanie.

Było to podczas oblężenia Gdańska w 1813 r.

Od roku garnizon francuski dowodzony przez hrabiego Rapp, wytrzymywał najstraszniejsze z oblężeń jakie historja w pamięci zachowała.

Weszli do miasta w trzydzieści tysięcy, pozostało ich zaledwie sześć.

Do trudów jakie pociąga za sobą oblężenie, do strzałów i bomb nieprzyjacielskich, przyłączyła się klęska straszniejsza jeszcze: głód.

Początkowo wyznaczono ludziom po pół uncji konia dziennie. A kiedy zabrakło już koni, zaczęto jeść koty i psy, a kiedy ani kotów ani psów już nie było, wzięto się do szczurów i myszy.

Miano pożerać trupów, a w końcu może i żyjących, kiedy jenerał uczuł niezmierną litość dla tej resztki bohaterów umierających bez skargi dla Francji i cesarza. Zrozumiał on, że wszyscy zacząwszy od niego samego, wypełnili swój obowiązek i że człowiek z pod Austerlitz nic już od nich wymagać nie może.

Rapp podpisał kapitulację.

Wiadomo jak sprzymierzeni ją wykonali.

Armja francuska czyli kilka szczątków jakie z niej pozostały, miały powrócić do Francji pod osłoną słowa i broni swych nieprzyjaciół.

Wysłano ich jako więźniów w głąb Moskwy, zkąd garstka rozbitków pozostałych przy życiu z tej olbrzymiej klęski powróciła dopiero do kraju po upadku Napoleona.

W pierwszych miesiącach oblężenia, spodziewając się pomocy od cesarza, żołnierz bił się śmiejąc. Wszyscy byli tak przyzwyczajeni widzieć umykającego nieprzyjaciela, że wyobrażano sobie, iż jednego pięknego poranku oblęgająca armja stopi się od słońca. Rapp, który uwielbiany był od żołnierzy, robił wszystko co było w jego mocy, ażeby podtrzymać ich ducha, a szczególniej rozbudzić wesołość. Starał się więc w całym czasie trwania oblężenia, żeby teatr był otwarty i on sam w loży otoczony swoim sztabem jeneralnym, był obecnym na każdem przedstawieniu.

Oświadczyny pierwszego kochanka bywały wprawdzie niekiedy zamącone wybuchem pękającej bomby lub trzaskiem kartaczy, ale tak dalece przyzwyczajono się do tego, że nikt nie ruszał się z miejsca i sztuka trwała dalej zupełnie spokojnie.

Zdarzało się nawet często, iż oficerowie z swoich oteli obok orkiestry śledząc uważnie przebieg dramatu lub intrygę komedji, widzieli jak drzwi się otwierały i głowa któregoś oficera sztabu ukazywała się wzywając ich skinieniem. Wstawali wtedy, ostrożnie przeciskali się koło sąsiadów, robiąc jak najmniej hałasu i ograniczali się na powiedzeniu któremu z kolegów:

— Podobno nas tam potrzebują. Pułk robi wycieczkę dziś w nocy. Jutro rano opowiesz mi resztę.

Nazajutrz brakowało pewnej liczby przy apelu, lecz ściskano szeregi a kolega mruczał pod wąsem:

— Jeszcze jeden, który nie będzie wiedział jak wicehrabianka wychodzi za markiza.

I to było wszystko.

Ojciec mój był oficerem w pułku strzelców konnych młodej gwardji. Sztab jeneralny tego pułku składał się z młodych powiększej części bogatych ludzi, którzy najweselej i najcierpliwiej w świecie znosili wszelkie dolegliwości. Codziennie wieczór po uwolnieniu ze służby zbierali się w kawiarni obok teatru w około ogromnej wazy ponczu, rozmawiając o Francji, pijąc za zdrowie nieobecnych przyjaciół i usiłując za pomocą wesołości i dobrego humoru odtworzyć sobie mały kącik opuszczonej ojczyzny.

Czas jednak upływał nie przynosząc żadnej zmiany w trudnem położeniu garnizonu.

Łańcuch opasujący ściskał się coraz bardziej, zima nadchodziła, a armja oblęgająca nie była wcale usposobioną do ustąpienia i czoło już niezbyt wesołe jenerała Rapp zachmurzało się coraz bardziej.

Trzeba było przyspieszyć zakończenie.

Rapp rozkazuje więc jednego dnia powszechną wycieczkę. Idzie o to, żeby za jakąkolwiek cenę przedrzeć się przez szeregi nieprzyjacielskie dla wprowadzenia konwoju z żywnością.

Połowa garnizonu ma wyjść. Pomiędzy pułkami oznaczonemi do wzięcia udziału w wycieczce znajdowali się strzelcy konni. Wyjeżdżają o świcie, przesuwają się koło muru z ostrożnością, kopyta końskie są obwinięte słomą, żeby nie robiły żadnego hałasu.

— Do ataku broń! — woła pułkownik.

Kolumna rusza z miejsca w milczeniu.

— Naprzód!

Na tę komendę kawalerja puszcza się galopem i zmiata jak huragan przednie straże. W kilku minutach ta burza ognia i żelaza ogarnęła kawalerję austrjacką. Ulani są zniesieni, piechota stratowana i konwój pod osłoną naszych wprowadzony do miasta nim główne siły nieprzyjacielskie zdołały się poruszyć, żeby go nam odebrać.

Zabito dużo ludzi i licznych zabrano jeńców. Pomiędzy tymi ostatnimi znajdował się młody oficer od huzarów, których pułk ścierał się z naszymi strzelcami. Po rozpaczliwej obronie oficer walczył jeszcze, gdy silne uderzenie w rękę płazem pałasza przez mojego ojca wytrąciło mu broń bezwłocznie. Dalszy bój stał się niemożliwym; oficer poddał się płacząc z wściekłości. Zaprowadzono go do Gdańska z wszelkiemi możliwemi względami i komendant miasta wyznaczył mu na więzienie ten dom właśnie, gdzie się zbierali co wieczór oficerowie od strzelców.

Po kilku dniach mój ojciec i jego przyjaciele oddali wizytę więźniowi. Zastali go przygnębionego smutkiem i odpowiadającego tylko ponurem milczeniem na tysiące grzeczności i uprzedzeń, jakie mu okazywano.

Wkrótce jednak duch rycerski, dyskrecja i uprzejmość oficerów francuskich widocznie głębokie wrażenie zrobiły na jego umyśle i ze łzami w oczach zaczął im odwzajemniać okazywaną uwagę.

Nazywał się on hrabia Jerzy de Balmen i należał do jednej z najpierwszych rodzin w Czechach.

Był to młody człowiek wysokiego wzrostu, od dwudziestu pięciu do dwudziestu ośmiu lat liczący, postać jego wysmukła miała na sobie cechę najwytworniejszego ułożenia. Rzadkim wypadkiem u ludzi należących do szczepu germańskiego, był on ciemnym brunetem. Długie czarne włosy bez pudru otaczały wdzięcznie matowej bladości twarz, której owal podłużny przypominał trochę portrety Bonapartego, gdy był młodym.

Powoli stosunki pomiędzy nim a oficerami naszego korpusu stały się dosyć ścisłe. Tylko czytało się na jego czole taki smutek, ruchy jego były tak przygnębione i ociężałe, że wkrótce w całym pułku znano go jedynie pod nazwą *czarnego kawalera*.

Mój ojciec, który był mu najsympatyczniejszym z wszystkich, po kilka razy z największą delikatnością i ostrożnością starał się zbadać tajemnicę tego nieuleczalnego smutku, lecz zawsze młody człowiek odwracał oczy ściskając mu rękę.

Mój ojciec zrozumiał i umilkł.

Jednego wieczora wszyscy oficerowie pułku byli zebrani w pokoju więźnia z zamiarem wypicia wesoło ponczu, na który ich tenże zaprosił.

Pan de Balmen wydawał się weselszym niż zwykle. Twarz jego zawsze blada, była teraz ożywioną, oczy jaśniały dziwnym blaskiem, ręka była lodowatą, a urywana mowa zdradzała gorączkę.

Przyjmował on gości z największą uprzejmością, zdradzającą prawdziwego szlachcica i wielkiego pana. Każdy też u niego czuł się zupełnie swobodnym, każdemu umiał on jakieś uprzejme słówko powiedzieć.

Wkrótce pod wpływem ponczu rozmowa stała się żywszą i weselszą. Młody oficer, który dotychczas we wszystkich okolicznościach okazywał się rzadkiej wstrzemięźliwości, tego wieczora chciał, jak się zdawało, odstąpić od swoich przyzwyczajeń. Nalewał też sobie i pił nieustannie, a pomimo to ani w głosie, ani w postawie nic nie wskazywało żeby był pijanym.

Oficerowie patrzyli na niego z podziwieniem.

— No, rzeczywiście, moi panowie — zawołał stary kapitan — my Francuzi jesteśmy tylko niedołęgami, gdy idzie o picie!... Niech żyją Niemcy!

— Zdrowie twoje, kapitanie! — wymówił więzień.

— Czternaście! — mruknął stary żołnierz z uwielbieniem — czternaście szklanek!

Pan de Balmen zaczął się śmiać.

— Panowie, ponieważ ten wieczór będzie ostatnim jaki z wami przepędzę...

Oficerowie poruszyli się na te słowa.

— Pojmujecie więc że muszę się okazać gościnnym gospodarzem i dzielnym współbiesiadnikiem, choćby dlatego, żeby przyjemne zostawić po sobie wspomnienie.

— Przepraszam, mój drogi hrabio — rzekł pułkownik — czy jesteśmy już w wilię kapitulacji, albo może Francja podpisuje pokój ze sprzymierzonymi?

— Dlaczego to pułkowniku?

— Dlatego, boś pan powiedział, że ten wieczór będzie ostatni jaki przepędzimy razem.

— No więc?

— Więc oprócz tych dwóch wypadków, obydwóch zresztą bardzo nieprawdopodobnych, nie widzę sposobu, żebyśmy mogli rozłączyć się tak prędko.

— Panowie — odezwał się pan de Balmen nie odpowiadając pułkownikowi — która jest godzina?

Każdy wyjął zegarek.

— Jedenasta — powiedział mój ojciec.

— Otóż panowie, jutro o jedenastej nie będę już z wami.

— A gdzież będziesz kochany hrabio?

— Umrę.

Wszyscy zerwali się z miejsca.

Młody człowiek wychylił spokojnie piętnastą szklankę ponczu.

Był on trochę bledszym niż zwyczajnie, ale ani jeden muskuł nie drgnął mu w twarzy.

— Czyś pan oszalał.

— Wcale nie, ale daję wam słowo honoru, przysięgam wam, że jutro o tej godzinie już mnie tu nie będzie.

Wszyscy ci ludzie, którzy otaczali pana de Balmen byli więcej niż odważni, byli bohaterami, a jednak zadrżeli mimowolnie słysząc tę dziwną przepowiednię i widząc z jakim spokojem mówił o tem więzień.

— I jakże to pan będziesz zabitym? — wznowił pułkownik usiłując się śmiać i w żart to obrócić.

— Będę zabitym od bomby...

— Doprawdy?

— Która wyrzuconą zostanie przez baterję czwartej paraleli i artylerzysta zwany Fischer zanominowany przezemnie na kanoniera, będzie nabijał i celował tę armatę.

Tym razem żart wydał się zbyt wielkim, kilku też oficerów odwróciło głowę dla ukrycia uśmiechu.

— Mój drogi panie de Balmen — wymówił mój ojciec — pozwolisz nam powiedzieć, że nie jesteśmy ani dziećmi, ani piastunkami i że pomimo całej chęci jaką mamy zrobienia ci przyjemności, nie podobna nam uwierzyć w podobne szaleństwo.

— Bądź zresztą przekonanym panie hrabio — dodał pułkownik — że nie pozwolimy ci odejść tak łatwo. Takiemu miłemu towarzyszowi! Takiemu odważnemu żołnierzowi!

— Człowiekowi, który pije piętnaście szklanek ponczu! — zawołał kapitan.

— Panowie! — odezwał się młody więzień głosem poważnym — zechciejcie mnie posłuchać. Postępowaniem względem mnie udowodniliście że dawna sława grzeczności francuskiej nie jest czczem słowem, a jakkolwiek przyjaźń nasza była tak krótką i tak prędko skończyć się musi, jestem szczęśliwym żem ją poznał i dumnym, iż zasłużyłem na nią. Największym żalem dla mnie umierając będzie, że muszę porzucić tyle serc szlachetnych. Lecz trzeba — dodał wzdychając...

— Jeszcze raz, mój przyjacielu — odezwał się mój ojciec...

— No, no do licha — zawołał kapitan, uderzając szklanką o stół — nie mów pan takich głupstw.

— Pijmy panowie!... Zdrowie Francji!

— Zdrowie Francji i za pomyślny i prędki powrót pana do ojczyzny!

Szklanki szczęknęły.

— Teraz, panowie, posłuchajcie mnie — młody oficer, jakby dla zabrania wspomnień milczał czas jakiś. Potem głosem, w którym przebijało tajemne wzruszenie rozpoczął następujące opowiadanie.

— Urodziłem się w Czechach, w pobliżu Pragi. Zamek Balmen wznosił się w pięknej okolicy nad brzegami Mołdawy. Był to budynek sięgający czasów feudalnych. Mój ojciec pochodził z tych wielkich rycerzy średniowiecznych, których wytępił Fryderyk Rudobrody, liczymy nawet, pomiędzy naszymi przodkami Otokara króla Czech. Nie ma więc sławniejszych, pomiędzy najsławniejszymi. Mój dziadek mówił do cesarza *mój kuzynie*, a w wielkiej sali zamkowej widać portrety trzech elektorów. Wiecie zaś zapewne, że siedmiu elektorów cesarstwa należało do najwyższych i najmożniejszych ludzi w świecie. Bulla złota porównywała ich do siedmiu darów Ducha Świętego, do siedmiu pagórków Rzymu, do siedmiu gałęzi świecznika Salomona. Arcybiskup Moguncji szedł po prawej stronie cesarza, a królowie Czech po prawej stronie arcybiskupa.

— Widzę że uśmiechacie się na myśl, iż to biedny oficer który nie ma już nawet swojej szabli, mówi o tych wszystkich zgasłych majestatach, o tych rozsypanych w gruzy wielkościach. Niestety! od dawna już wicher nieszczęścia wieje na naszą rodzinę i ostatni potomek tych książąt, ostatnia gałązka tego starego dębu, znudziwszy wreszcie fatalizm, jutro zapłaci życiem za nazwisko, które nosi i zbrodnię, jaką jeden z jego przodków popełnił.

— Ku końcowi 1105 roku cesarz niemiecki nazywał się Henryk IV. Był to starzec czcigodny, wielki rycerz, rozumny król i pokorny chrześcijanin. Papież kazał mu raz nawet stać bosemi nogami na śniegu czekając na podwórzu w zamku Canossy. Zresztą był dobry i łagodny. Jeden z naszych przodków hrabia Nuthor, jego towarzysz broni, został wyniesiony przez niego do najwyższych godności cesarstwa. Był to najpierwszy i największy wśród tego dworu złożonego z książąt. Wszystko zawdzięczał cesarzowi i był zdawało się najwierniejszym jego przyjacielem. Tymczasem wcale tak nie było.

(Dok. nast.)

Treść Nr. 3. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego. **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.**